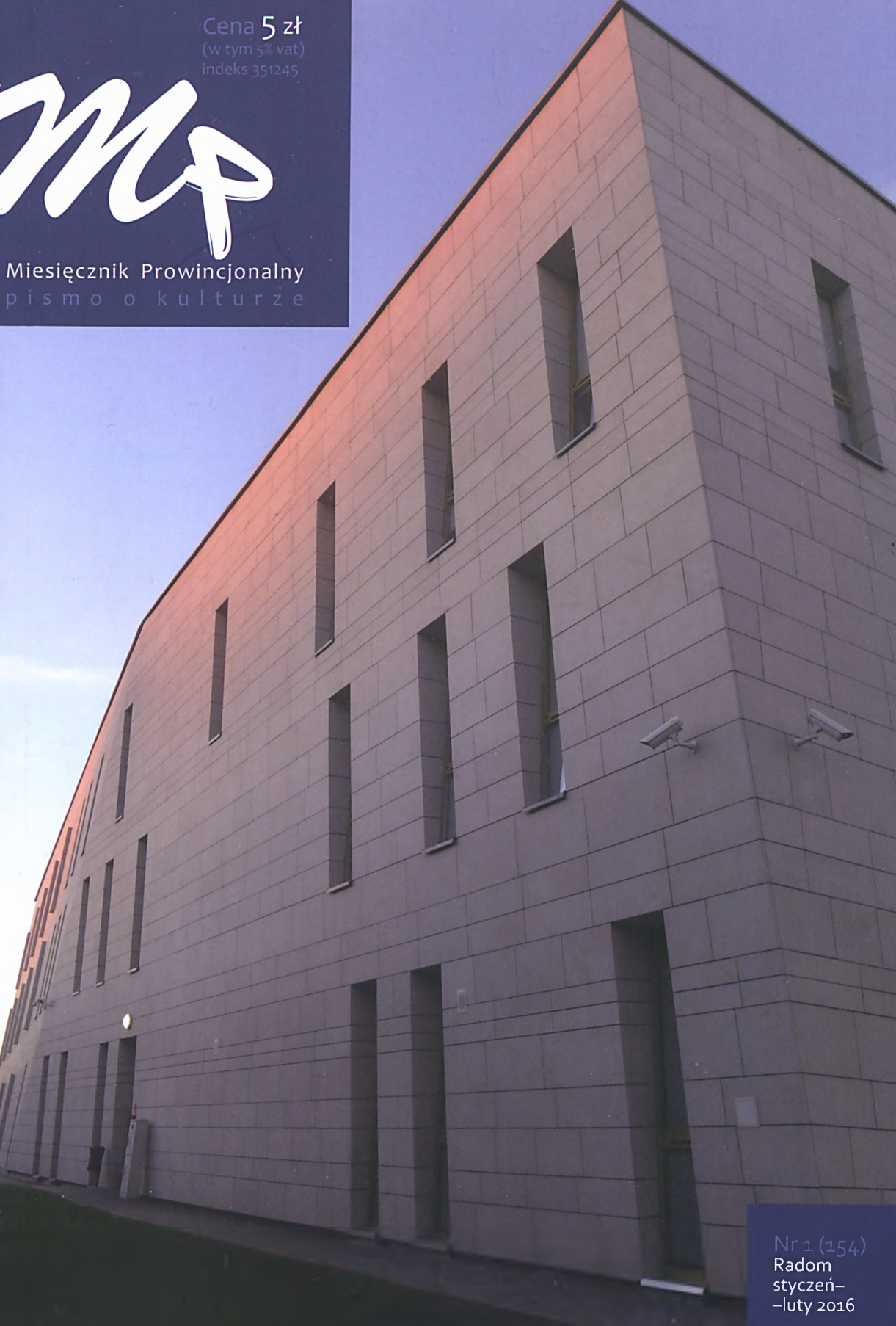


Cena 5 zł
(w tym 5% vat)
indeks 351245

MCP

Miesięcznik Prowincjonalny
pismo o kulturze



Nr 1 (154)
Radom
styczeń-
-luty 2016



Na okładce:

nowa siedziba Archiwum Państwowego w Radomiu
fot. Stanisław Zbigniew Kamieński
2.10.2015 r.

Radomskie pismo o kulturze
Nr 1 (154)
Radom, styczeń–luty 2016
cena 5 zł ISSN 1506–5391

Redaguje zespół w składzie:



Anna Skubisz-Szymanowska
– redaktor naczelna



Agata Morgan
– sekretarz redakcji



Halina Bogusz
– korekta



Mariusz A. Dański
– dyrektor artystyczny



S. Zbigniew Kamieński



Jerzy Kutkowski



Krzysztof Majerczyk



Ilona Michalska-Masiarz



Michał Płoski



Grzegorz Sasin



Anna Spólna



Mieczysław Szewczuk



Robert Utkowski

Wydawca:

Miejska Biblioteka Publiczna
w Radomiu
Adres redakcji:
ul. J. Piłsudskiego 12
26-600 Radom
tel.: 48 362 67 35
fax: 48 363 38 18
e-mail: miesiecznik.radom@op.pl
<http://facebook.com/miesiecznikprowincjonalny>

Materiałów niezamówionych redakcja
nie zwraca i zastrzega sobie prawo
ich skracania i redagowania.
Jednocześnie zapewniamy
integralność treści i formy
utworów literackich.

Prenumeratę

można zamówić
listownie lub osobiście
(Miejska Biblioteka Publiczna
ul. Piłsudskiego 12, 26-600 Radom),
jak również telefonicznie
(48 362 87 88)
i e-mailem (prom.mbpradom@op.pl)
nr konta: Bank PEKAO S.A.
70 1240 5703 1111 0000 4905 8590

Zespół „Miesięcznika Prowincjonalnego”
dziękuje Panu Czesławowi Krukowi
za współfinansowanie wydawnictwa w 2015 roku

Wydawnictwo sfinansowano ze środków Gminy Miasta Radomia

OD REDAKTORA

Szczepan Twardoch pisał kiedyś o Ślązakach, że „próbują się definiować przez fałszywe obrazy i skojarzenia, jakby posiadali wyjątknie jaźń odzwierciedloną, żadnej własnej”. Zapamiętałam ten cytat pewnie niezbyt dokładnie, ale co do istoty właściwie, ponieważ zabrzmiał mi bardzo swojsko. Mam wrażenie, że coś podobnego dzieje się z nami w Radomiu. Odwołujemy się do mitów z przeszłości, szukamy śladów na starych fotografiach, gładzimy o tym, skąd przyszlismy i dokąd zmierzamy – i wszystko jest wzniosłe, ważne, szlachetne.

Daleka jestem od myśli, że przeszłość nie ma znaczenia i wszystko zaczyna się od nas, a po nas choćby potop. Przeszłość potrzebna jest każdemu. Co więcej, warunkuje nasze dzisiaj i nie pozostaje bez wpływu na następne pokolenia. Trzeba więc tym bardziej zająć się o rzetelną i uczciwą ocenę własnego dziedzictwa. Nie tkwić w sentymentach, nie ulegać zbiorowej tęsknocie za anielską sieliskością, nie udawać. Nie wszyscy jesteśmy paniczami z pałaców i nie wszystkie jesteśmy panienkami z dworów. A już na pewno nie w Radomiu, mieście o bogatej tradycji, ale jednak tradycji robotniczo-chłopskiej. Nie bardzo nam ta tradycja dzisiaj odpowiada. Wolelibyśmy mieć rodowód jeśli nie ze starej szlachty, to przynajmniej z bogatego mieszczaństwa czy choćby z fabrykantów dobrokiewiczów. Tylko gdzie ich szukać w historii naszego miasta? A jak już się taki znajdzie, to albo Żyd albo Niemiec. Podobnie z inteligencją radomską. Też jakoś etnicznie pomieszana. Nie wiem, czy zgodziłby się ze mną socjolog, ale chyba nie przesadzę, jeśli powiem, że dzisiaj większość z nas to inteligenci najwyżej w drugim pokoleniu. Cóż, ma to swoje skutki. Jesteśmy zdolni, pracowici, ambitni, ale nie udawajmy, że nie mamy ograniczeń nuworyszy. Po prostu je zaakceptujmy i starajmy się z nich wyzwolić – na ile się da. Takie nasze miejsce na ziemi – taki los nas kształtował. Można próbować z nim powalczyć, ale oszukać się go nie da.

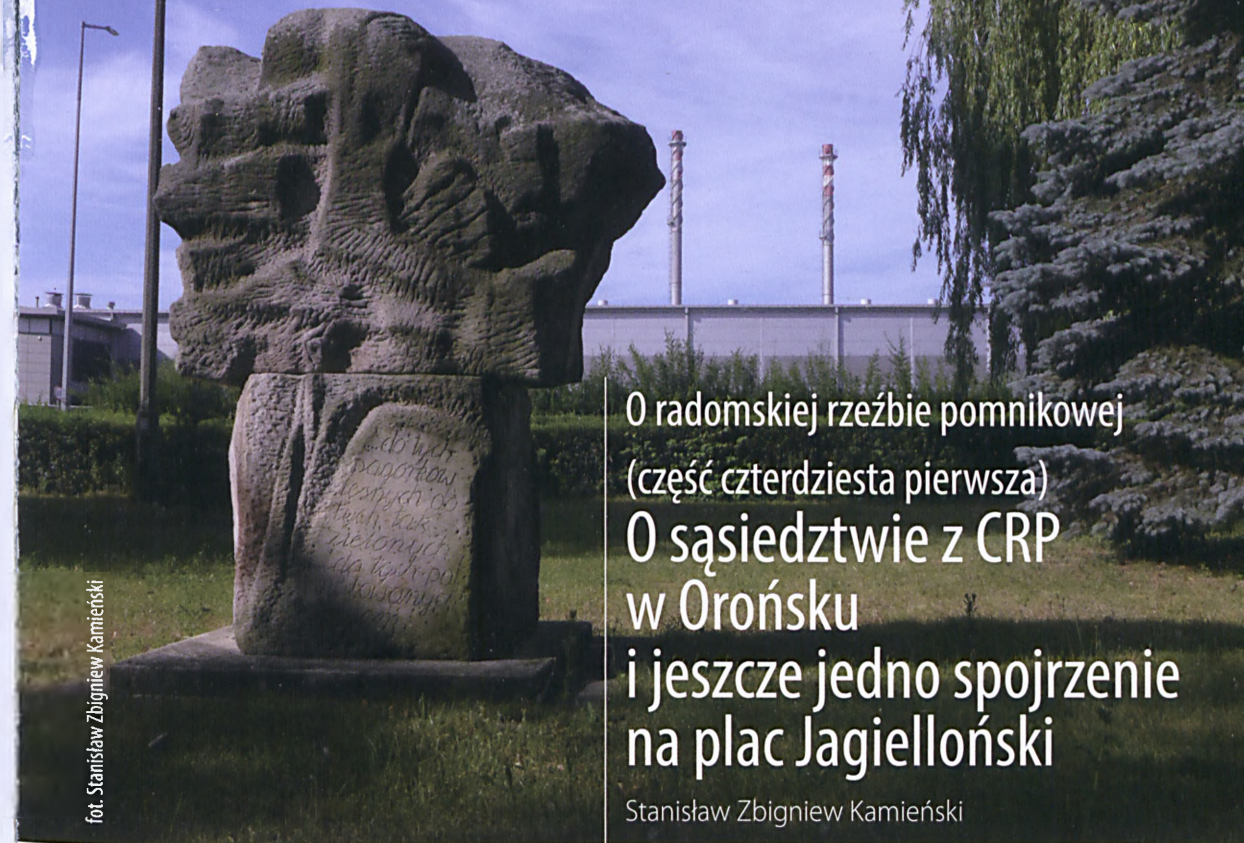
I jeszcze jeden cytat z Twardocha. Tym razem dokładny: „Pamięć wspólnoty jest tak silna, że z biegiem lat jest w stanie wyprzeć pamięć osobistą, pamięć wydarzeń doświadczonych”. Mam wrażenie, że bardzo chętnie ulegamy pokusie takiego wypierania. Szczególnie chętnie, jeśli pamięć zbiorowa pozwala nam poczuć się lepiej.

Anna Skubisz-Szymanowska

SPIS TREŚCI

- 1 | *Od redaktora*
Anna Skubisz-Szymanowska
- SZKIC 3 | *O radomskiej rzeźbie pomnikowej (część czterdziesta pierwsza)*
Stanisław Zbigniew Kamiński
- ESEJ 9 | *Drabina (część XIX)*
Michał Płoski
- RECENZJA 12 | *O zrywaniu nici tradycji*
Łukasz Prus
- DWUGŁOS 16 | *Izrael oczami Hłaski i Weisera*
Elżbieta Zawodnik
- 18 | *Takie powroty też są możliwe*
Marta Wiktoria Trojanowska
- PLASTYKA 20 | *„Dream” Julity Malinowskiej...*
Lidia Ziemińska
- GALERIA PROWINCJONALNA 23 | *Od punktu do punktu, linia za linią*
Jacek Waltoś
- ROZMOWA 35 | *To jest moja pasja...*
Ilona Michalska-Masiarz
- POEZJA 40 | Michał Sobol
- FELIETON 42 | *Sen o szpadzie?*
Robert Utkowski
- TEATR 44 | *Wysoka cena niespełnionych marzeń*
Krystyna Kasińska
- KINO 47 | *Carpe diem*
Grzegorz Sasin
- MUZYKA 50 | *Klasyka przez jazzowy pryzmat*
Krzysztof Majerczyk
- Z KART HISTORII 52 | *Beze mnie czas nie istnieje...*
Marta Wiktoria Trojanowska
- 57 | *Proboszcz z Borkowic*
Jerzy Kutkowski
- KRONIKA 62 | *grudzień 2015 – styczeń 2016*

**w Galerii Prowincjonalnej
PRACE STANISŁAWA ZBIGNIEWA KAMIŃSKIEGO**



O radomskiej rzeźbie pomnikowej (część czterdziesta pierwsza) O sąsiedztwie z CRP w Orońsku i jeszcze jedno spojrzenie na plac Jagielloński

Stanisław Zbigniew Kamiński

Rzeźba Eweliny Michalskiej „Wiejska droga” przed Prywatną Wyższą Szkołą Ochrony Środowiska

Słowo się rzekło – piszę ostatni, 43. tekst o pomnikach i rzeźbach w przestrzeni publicznej naszego miasta. Nie znaczy to, że nie odezwę się już więcej w tej sprawie, jeśli nadarzy się ku temu okazja, gdy pojawi się nowy obiekt rzeźbiarski do opisanie. Nie pisałem o wszystkich rzeźbach, które można napotkać w Radomiu, a które w większości są zapewne depozytami Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku.

Jedna z nich, autorstwa Eweliny Michalskiej, pt. „Wiejska droga” (lata 80.) stoi przed siedzibą Prywatnej Wyższej Szkoły Ochrony Środowiska na Gołębiowie, na obrzeżach Radomia, na przestronnym, zadbanym trawniku, sama także zadbaną, jakże mogłoby być inaczej, choć pewnie mogłoby. Dwie rzeźby widziałem kilka lat temu w parku szpitala w Krychnowicach, jedna stoi na Glinicach, obok od-

działu rehabilitacji przy ul. Giserskiej; wewnątrz budynku znajdują się – jak mi mówiła Tamara Książek, dawna wicedyrektorka CRP – trzy ceramiczne rzeźby, których autorką jest Maria Gorełówna. Dwie inne rzeźby z Orońska, jedna „Prometeusz” Anny Szalast, druga „Święte drzewo” Grażyny Remiszewskiej, można oglądać w holu Biblioteki Głównej Uniwersytetu Technologiczno-Humanistycznego; na ścianach wyeksponowane są trzy tkaniny Józefa Łukomskiego („Totemy”, 1969 r.), również depozyty CRP, zaś przed budynkiem dwie rzeźby Barbary Śliwy i jedna Włodzimierza Buican-Bieleckiego. Przypomnę, że orońskie depozyty stoją także przy ul. Piłsudskiego, przed Miejską Biblioteką Publiczną, która jest wydawcą „MP”.

Nudna może wydać się ta wyliczanka nazwisk, tytułów prac i instytucji, a jednak

musiała się tu pojawić. Mówiąc o współpracy pomiędzy instytucjami kultury, w wyniku której oglądamy w Radomiu tu i tam rzeźby, trzeba wskazać ludzi pracujących w tych instytucjach, przyczyniających się do działań na rzecz miasta. Podaję kilka nazwisk osób zasłużonych dla tej sprawy, zapewne nie wymienię wszystkich. Rzeźby na oddziale rehabilitacji radomskiego szpitala pojawiły się dzięki jego ordynator Krystynie Gameckiej, o obiekty dla biblioteki Politechniki Radomskiej (obecnie UTH) zabiegał jej były już dyrektor Stanisław Gałęzia, zaś o rzeźby dla MBP – ówczesna dyrektorka Danuta Tomczyk. Ze strony CRP, obok wymienionej już Tamary Książek, trzeba pamiętać o twórcy tej instytucji i jej wieloletnim dyrektorsze, nieżyjącym Tomaszu Palaczu, czy obecnym zastępcy kierownika Muzeum Rzeźby Współczesnej, kuratorze zbiorów i wystaw Jarosławie Pajku.

Mówiłem o osiągnięciach, muszę niestety wspomnieć również o niedomaganiach. Czasem zastanawiam się, czemu do tej pory nie powstała w Radomiu większa ekspozycja rzeźby współczesnej, skoro w bliskim sąsiedztwie mamy orońskie Centrum Rzeźby Polskiej z dużymi i „nie-wykorzystanymi”, jak sądzę, zasobami obiektów rzeźbiarskich. Ustawiane w latach 70. w różnych miejscach miasta pojedyncze rzeźby rzadko budzą entuzjazm czy choćby zainteresowanie, zapewne nie tylko dlatego, że nie są arcydziełami sztuki. (Arcydzieła w ogóle nie zdarzają się zbyt często; aby mogło pojawić się wybitne dzieło, musi powstać wiele innych, stanowiących dla niego odniesienie, byśmy mogli docenić jego wartość, sumę wielu

cech formalnych i ideowych, swego czasu dostrzeganych w twórczości różnych artystów. Arcydzieło jest kumulacją owych cech lub ich zaprzeczeniem, w przebiegu geniuszu.) Plenerowa, stała ekspozycja kilkunastu rzeźb, której wartość wynikałaby przede wszystkim z ich bliskiego sąsiedztwa i wzajemnego oddziaływania na siebie, mogłaby stworzyć obraz form i tendencji charakterystycznych dla swego czasu; mam na myśli drugą połowę ubiegłego stulecia. Tylko na takim tle rozpoznamy dzieła wybitne, wykraczające poza średnie horyzonty. Byłoby oczywiście dobrze, gdyby choć jedno takie dzieło pojawiło się wśród kilkunastu przeciętnych. Domyślam się, być może z przesadną, nieuzasadnioną nadzieją, że zakomponowany we wspólnej przestrzeni zbiór lepszych i gorszych rzeźb budziłby większe zainteresowanie mieszkańców niż pojedyncze, rozrzucone w różnych miejscach obiekty, zarówno poprzez zewnętrzną atrakcyjność grupy, jak i wewnętrzną siłę oddziaływania na naszą podświadomość wspierających się wzajemnie form (które zdążyły z latami pojawić się w kształtach przedmiotów codziennego użytku).

I jeszcze jedna uwaga dotycząca wszystkich obiektów rzeźbiarskich w przestrzeni publicznej, zgrupowanych czy stojących oddzielnie. Część opisywanych przeze mnie (od lat) rzeźb pozostaje dziś zaniedbana i opuszczona, nigdy niepoddana jakiegokolwiek konserwacji, a przestrzeń wokół nich pozbawiona roli, którą pełniła, zarosnięta chwastami, zastonięta gałęziami drzew, zdegradowana. Kamienne rzeźby wrastają w swoje otoczenie, przestajemy je dostrzegać, nawet jeśli kiedyś zwrócimy



Plac Jagielloński – miejsce po pomniku Wdzięczności

naszą uwagę. Pozostawione same sobie szkoda dobrej sprawie, dla której zostały ustawione w przestrzeni miasta, ale to oczywiście nie ich wina, że gotowi jesteśmy podejmować raczej jednorazowe akcje, nie systematyczne działania. Zawsze romantyzm, nigdy pozytywizm.

Na koniec wracam, po raz któryś w moich tekstach, na plac Jagielloński, gdzie do 1993 r. stał przez cztery dziesięciolecia pomnik „Wdzięczności Armii Czerwonej”, znak terroru, a potem narzuconej dominacji sowieckiej. „[...] jeśli nie brać pod uwagę Armii Czerwonej, politycznie i militarnie komuniści w Polsce byli [w pierwszych latach po wojnie – przypis mój] bardzo słabi [...]. W walce musieli opierać się stale na Rosjanach, co wprawdzie pozwalało niszczyć przeciwników, ale kompromitowało wobec ludności, o której serca i dusze toczyła się walka”¹, pisze Andrzej Leder w książce *Prześlona rewolucja*, recenzowanej niedawno w „MP” przez Łukasza Prusa. Dyskusja na temat „zagospodarowania” placu Jagiellońskiego po usunięciu pomnika wdzięczności ożywała co jakiś czas (w lokalnych mediach i na różnego rodzaju spotkaniach), po czym cichła, nie przynosząc żadnych rezultatów. Pomysł usytuowania tutaj „Powiewu”, który popierałem, budził zawsze niechęć, a nawet wywoływał zaciekle opór tych, którzy chcą odczytywać historię w perspektywie przede wszystkim religijnej, zwolenników postawienia w tym miejscu pomnika św. Kazimierza. Dziś wydaje mi się, że „Powiew” jako rzeźbiarska forma (ciężka, betonowa), nie sprawia już takiego wrażenia jak dawniej, być może dopomina się o inne rozwiązanie techniczne, zastosowa-

nie innych materiałów i technologii do realizacji tamtego projektu. Także przestanie dzieła traci, przynajmniej w pewnej mierze, dawną siłę oddziaływania, tkwiącą w prostocie przekazu, która, z większego dystansu czasowego, wydaje się zbytnim uproszczeniem. Świetny projekt na pomnik wydarzeń społeczno-politycznych z przełomu lat 70. i 80. ubiegłego wieku, jakim jest „Powiew”, przechodzi do historii, historii sztuki i historii myśli społecznej, zaś jego gipsowy model (w skali 1:20) staje się obiektem muzealnym. Nie tak wielu dziełom sztuki to się udaje.

Wydarzenia radomskie 1976 r. zapoczątkowały potężną erupcję społeczną, która doprowadziła do transformacji ustrojowej 13 lat później. „Kryzys i rozpad tej ustrojowej hybrydy [jaką był PRL – przypis mój] rozpoczął się w Polsce już w 1980 roku, gdy ogromne masy ludzi zaczęły domagać się podmiotowości politycznej, nie zdając sobie często sprawy, co za tym idzie”². Lederowi chodzi o to, że wielkimi przegranymi tamtych wydarzeń, mających swoje apogeum w sierpniu 80 r., byli w rezultacie robotnicy. „Okazali się nieudacznikami, »ludźmi sowieckimi«. Część pewnie rzeczywiście nie umiała sobie poradzić poza »folwarkiem industrialnym«, a część znajdowała się w beznadziejnej sytuacji; co ma zrobić człowiek mieszkający w małym mieście, gdzie upada jedyna fabryka? Wydaje się to oczywiste, ale w 1990 roku o tym się nie mówiło. Ludzie ci zostali opuszczeni, stali się »nikami«. Jakoś przeżyli, nie umierali z głodu, ale zostali pozbawieni znaczenia i uznania”³.

Pytanie o los przeciętnych ludzi w niewielkim mieście, w którym likwiduje się



Rzeźba nieznanego autora na terenie Oddziału Rehabilitacji przy ul. Giserskiej

fabrykę, odnosi się również do niemałego robotniczego Radomia, gdzie upadły wszystkie duże fabryki: Walter, Radoskór, „Błaszanka” i szereg innych, mniejszych. W latach 70. zdarzało się, że przechodziłem w pobliżu Zakładów Metalowych, gdy pierwsza zmiana kończyła pracę (sam pracowałem tam niedługo jako frezer, po maturze). Ulicą Kościuszki po obu stronach płynął do śródmieścia potężny, niemają-

cy końca strumień ludzi. Wówczas nie lubiłem tego widoku, dziś jego wspomnienie kojarzy mi się z marszem robotników pod komitet wojewódzki PZPR 25 czerwca 1976 r. Nie byłem świadkiem tamtego wydarzenia, ale taki obraz podsuwa mi wyobraźnia, która korzysta na ogół z wypowiedzi realnej rzeczywistości. Dziś ulica o każdej porze dnia pozostaje spokojna. Pojawiają się na niej uczniowie technikum

budowlanego pomiędzy szkołą a internatem, ale wbrew optymistycznym prognozom, czy raczej życzeniom dla miasta, Radom nie staje się ważnym ośrodkiem nauki na średnim i wyższym poziomie. Bezrobocie ciągle przekracza tu średnią krajową, taki stan utrzymuje się od lat i nie zachęca młodzieży do wiązania życia z tym miejscem.

„Jeśli sięga się lat 50. [...] nie przychodzi na myśl żaden znak, który dziś jeszcze niósłby jakąś wartość, miał zdolność mobilizowania”⁴. Większość tamtych „znaków” była po prostu kalkami ze Związku Radzieckiego. Powiew wolności (tak zwykliśmy nazywać projekt na konkurs pomnika wydarzeń radomskich autorstwa Macieja Szańkowskiego) zmiotł klasę robotniczą na margines społeczny, jej wielkie ideowe zwycięstwo stało się, paradoksalnie, życiową przegraną znacznej części robotników. „Upadek na początku lat 90. przemysłu był nie tylko katastrofą ekonomiczną, ale też symboliczną”⁵. Dzisiejsza rzeczywistość także nie wytworzyła żadnych znaków czy symboli jednoczących społeczeństwo, czy przynajmniej jego większą część.

Nie wiem, jaką symboliką należałoby się posłużyć, aby trafić do przekonania ludzi – radomian, Polaków, cudzoziemców odwiedzających nasze miasto, a jednak jestem przekonany, że na placu Jagiellońskim powinien pojawić się w miejscu po pomniku wdzięczności, czy w jego sąsiedztwie, nowy pomnik. Nazywam go (roboczo) pomnikiem naszych powojennych losów, postrzeganych z lokalnej perspektywy Radomia. Pomnik informujący o stacjonującej tu „Wdzięczności” i „Po-

wiewie”, który nie doczekał się realizacji, o zapaści gospodarczej, z której tak trudno podnieść się miastu, o nadziejach związanych z kulturą i sztuką. Wydaje mi się, że konkurs na taki pomnik powinien mieć dwa etapy. Pierwszy, lokalny – na tekst, który nie musiałby ograniczać się do kilku słów, raczej dłuższe sformułowanie w postaci kilkunastu zdań. I drugi etap konkursu – otwarty, o zasięgu ogólnopolskim, na rozwiązanie architektoniczne bardziej niż, w tradycyjnym znaczeniu, rzeźbiarskie. Na obiekt i jego otoczenie. Rozdzielam tu pojęcia rzeźby i architektury, choć myślę, że dziś te dziedziny sztuki zbliżają się ku sobie (jak wszystko do wszystkiego) i chyba nie ma potrzeby wyznaczania pomiędzy nimi granic. Może za pośrednictwem takiego „czytelnego” obiektu edukacyjno-artystycznego moglibyśmy uświadomić sobie swoje miejsce we współczesnym świecie na początku XXI w.?

Stanisław Zbigniew Kamiński

26 grudnia 2015 r. – 17 stycznia 2016 r.

(Endnotes)

¹ Andrzej Leder, *Prześlona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2013, s. 156.

² jw. s. 194.

³ jw. s. 195.

⁴ jw. s. 172.

⁵ jw. s. 194.



Z notatnika malarza ikon Drabina (część XIX)

Michał Płoski

fol. Stanisław Zbigniew Kamiński

Kolejny rozdział *Drabiny raj* nosi tytuł „O śnie, modlitwie i śpiewaniu psalmów we wspólności”. Jest krótki, zawiera rzeczowe, proste pouczenia – aby sen miał właściwą miarę, aby się nie spóźniać na wspólną liturgię, nie opierać o ścianę, nie ziewać, zachowywać odpowiednie tempo śpiewu...

Św. Jan Klimak zwraca uwagę na wewnętrzną stronę aktu modlitwy: „Kto w czuciu serca rozważy, że przybył do Boga, ten okaże się w modlitwie jak filar nieruchomy [...]. Przygotowaniem jest codzienna asceza, zachowanie reguły. [...] prawdziwie posłuszny nieraz podczas modlitwy staje się nagle jaśniejący i radośnie uniesiony. Bo dzięki czystej postudze był uprzednio przygotowany i wcześniej się rozgrzał ten zapaśnik”. Zdaniem Klimaka wszyscy mogą modlić się we wspólności, choć dla wielu odpowiedniejszym jest modlenie się z kimś jednym o podobnej

duchowości; zaś modlitwa w samotności możliwa jest tylko dla nielicznych. Podział ten odpowiada trzem rodzajom życia mniichów – w dużych klasztorach, w małych wspólnotach i w pustelniach. Modlitwa we wspólności ma także rys indywidualny, wewnętrzny. Klimak zaleca: „Śpiewając wspólnie z wieloma, nie jesteś w stanie modlić się niematerialnie. Ale niech umysł twój troszczy się o trud rozważania wypowiedzianych słów lub zajmie się wyznaczoną modlitwą – prośbą w oczekiwaniu na następny wers”.

Modlitwa wymaga uważności: „Nie przystoi nikomu zajmować się w czasie modlitwy czymś ubocznym, a tym bardziej w czasie oficjum. Wielki Antoni jasno został o tym pouczony przez anioła”¹.

Jest to odniesienie do apoftegmatu otwierającego „Księgę Starców”, który należy do jednych z najczęściej cytowanych w literaturze duchowej tekstów o oj-

cach pustyni. Opowiada on o św. Antonim, który żył w latach 251–356, prowadząc życie pustelnicze, i uważany jest za ojca monastycyzmu. Popadł on pewnego razu w zniechęcenie i wielką ciemność wewnętrzną. Wtedy, ogarnięty wątpliwościami co do możliwości swojego zbawienia, ujrzał, jak czytamy w apoftegmacie, „kogoś podobnego do siebie, kto siedział i pracował, potem wstawał od pracy i modlił się, a potem znowu siadał i plótł linę, i znów powstawał do modlitwy. A był to anioł Pański, wysłany po to, by go pouczyć i umocnić. I usłyszał Antoni głos anioła: »Tak rób, a będziesz zbawiony«²². Słowa te napętniły pustelnika wielką radością i ufnością.

Została tu obrazowo przedstawiona fundamentalna zasada „ora et labora” – módl się i pracuj.

Sięgam po niewielką książkę zawierającą konferencje wygłoszone dla wspólnoty sióstr karmelitanek bosych w 1997 r. przez siostrę Miriam od Krzyża. Jej autorka, pomimo ukrytego życia i zachowywanej dyskrecji, stała się znaną malarką ikon. Oryginalne kompozycje siostry, odbiegające często od kanonów prawosławia, zakorzenione są w modlitwie. Żyje ona, za zgodą władz zakonnych, w odosobnieniu. Jej pustelnia znajduje się na terenie należącym do klauzurowego klasztoru sióstr karmelitanek w Szczecinie. W dawniejszych latach siostra Miriam od Krzyża miała w ograniczonym zakresie kontakt ze świeckimi, szukającymi porad duchowych. Z tego okresu pochodzą opublikowane obecnie konferencje dla sióstr. Od pewnego czasu siostra Miriam zachowuje całkowite milczenie. Jej ikony można zo-

baczyć w kaplicy szczecińskiego karmelu. Znane są one z licznych reprodukcji, także często kopiowane. Wspomnę tu chyba najpopularniejszą z nich – ikonę Matki Bożej niosącej Ducha Św. – Pneumatofory. Przedstawia ona Maryję przytulającą do piersi białą gołębicę.

W jednej z konferencji siostra cytuje ów apoftegmat o św. Antonim i mówi o związkach zachodzących między pracą a modlitwą. Możemy się domyślać, że jej słowa oparte są na własnym doświadczeniu, uzyskanym również przy pracy nad ikonami. Oto zdania zaczerpnięte ze wspomnianej książeczki, które współbrzmiały z tekstami napisanymi przed kilkunastoma wiekami: „Praca ręczna w milczeniu i samotności jest nie tylko przestrzenią modlitwy, ale jest także z modlitwą wielorako powiązana: przez trud, skupienie, ofiarność, przez miłość wreszcie [...]. Trud modlitwy owocuje w pracy i na odwrót – dopiero trud pracy nadaje głębię modlitwie [...]. Wszystko ma swój czas i zasadniczo powinno się w tym czasie zmieścić. Zaśpieszenie też nie jest żadną wartością. Niemniej ospała praca to ospała modlitwa, a odrobina szaleństwa w podjęciu trudu pracy owocuje żarliwością w życiu modlitwy [...]. Żyję w teraz – co już jest odniesieniem do Boga – i zajęta tym, co mi Jego wola zleca²³.”

Wydaje mi się, że zalecenia wypracowane przez wieki we wspólnotach kontemplacyjnych, w klauzurowych klasztorach, mogą być pomocne również nam, świeckim ludziom, znużonym w hałasie i zamieszaniu współczesnego świata. Jesteśmy nieustannie bombardowani mnóstwem informacji, różnymi bodźcami. Często



nie zauważamy chwili obecnej, a nasze myśli i psychiczne doznania są zawłaszczone przez przeszłość i przyszłość. Potrzebne są chwile zatrzymania, wewnętrznej ciszy, chwile zwrócenia się ku temu, co jest ponad naszym czasem i rzeczywistością. Wielu z nas już zapomniało, że od takich chwil należy zaczynać każdy dzień i w podobny sposób go kończyć, że można tak-

że w ciągu dnia znajdować choćby krótkie momenty, choćby jeden głęboki oddech...

Michał Płoski

(Endnotes)

¹ Św. Jan Klimak, *Drabina raju*, tłum. W. Polanowski, Kęty 2011, wyd. M. Derewiecki, s. 222.

² *Pierwsza Księga Starców*, tłum. M. Borkowska, Kraków 1992, Wyd. „m”, s. 37.

³ Siostra Miriam od Krzyża, *Modlitwa nieustanna*, Poznań 2015, Wydawnictwo Flos Carmeli, s. 78–80.

O zrywaniu nici tradycji

Łukasz Prus

O relacji – intelektualnej i uczuciowej – pomiędzy Martinem Heideggerem i Hannah Arendt powiedziano, napisano, nakręcono, wystawiono już wiele. Postaci te stały się bohaterami artykułów prasowych, książek naukowych i beletrystycznych, filmów, sztuk teatralnych. Niezwykle skomplikowane dzieje tej znajomości – wpisane w dramat przerażających wydarzeń poprzedniego stulecia i jednocześnie tego, co najbardziej doniosłe w europejskiej filozofii – są niewątpliwie tematem atrakcyjnym dla każdego z twórców szeroko rozumianej kultury. Jednak, jak sądzę, tym większe ryzyko, że w twórczości tej rozmyje się to, co perypetie te określiło. A fundamentem wzajemnej namiętności tych dwojga wybitnych myślicieli była, jak mawiała Arendt, „namiętność myślenia”, które nigdy nie może osiągnąć pewności i pełni.

I właśnie o dziejach namiętnego myślenia opowiada wydana w doskonałej serii Hory-

zonty Nowoczesności książka Pauliny Sosnowskiej *Arendt i Heidegger. Pedagogiczna obietnica filozofii*. Sama autorka zajmuje się twórczością Heideggera od wielu lat, przy czym stara się wpisywać nowatorską filozofię autora *Bycia i czasu* w perspektywę pedagogiczną, która po kataklizmie II wojny światowej i sowieckiego totalitaryzmu jest raczej przedmiotem egzorcyzmowania z filozofii, pomimo że to właśnie tendencja do wychowywania człowieka legła u podstaw pierwszego wielkiego systemu metafizycznego pomyślanego przez Platona, ojca założyciela tradycji filozoficznej Zachodu czy też – to termin preferowany przez Arendt – filozofii politycznej. Znaczna część twórczości autorki *Kondycji ludzkiej* jest w pewnym sensie próbą wytłumaczenia, jak mogło dojść do tego, że Heidegger – wielki filozof, profesor nieustannie powracający w swoich wykładach do klasyki i nieprzerwanie nawołujący studentów do odwagi myślenia, przystąpił do faszystowskiej par-

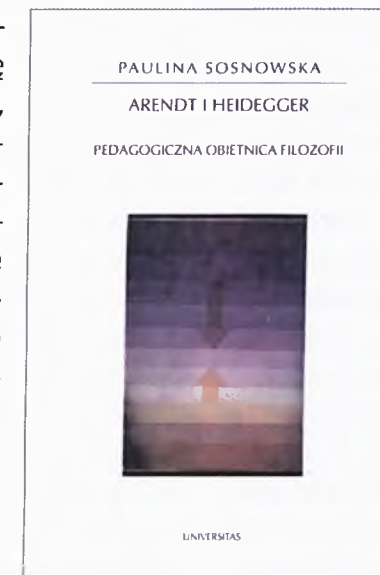
tii Adolfa Hitlera i stał się państwowym filozofem III Rzeszy. Sosnowska w swojej książce pokazuje – co intrygujące i teoretycznie odważne – że przyczyn tragedii Heideggera należy szukać tam, gdzie zaczęła się wielka europejska filozofia, czyli w skazaniu Sokratesa na śmierć po skandalicznym procesie.

Sosnowska, idąc śladem samej Arendt, jednoznacznie wskazuje, że zachodnia tradycja filozoficzna wtargnęła na scenę kultury pod wpływem traumy, a filozofia Platona – którego ukochanego mistrza Sokratesa greckie *polis* skazało na śmierć – jest kombinacją genialnej intuicji i jednocześnie odruchem obronnym, re-sentymentem. O ile Sokrates wniósł w filozofię tendencję pedagogiczną, o tyle jednak nigdy nie rościł sobie pretensji do dysponowania prawdą absolutną, obiektywną – nie składał konkretnej obietnicy. „Wiem, że nic nie wiem”, mawiał, czym niejednego ze swoich rozmówców doprowadzał do szewskiej pasji. Myślenie, a raczej mówienie Sokratesa, było przede wszystkim nieustannie ponawia-

ną próbą, wysiłkiem, dążeniem. Jego celem były i wiedza, i cnota, często zresztą utożsamiane ze sobą. Jednak Sokrates nigdy nie zdobył się na to, co zrobił Platon, który usiłując oswoić traumę po śmierci mistrza, wymyślił takie państwo, w którym filozofowie nie tylko nie będą skazywani na śmierć, ale z wysokości tronu będą decydowali o życiu i śmierci.

Sosnowska w swojej książce podąża za myślą Arendt i zakłada, że kluczem do zrozumienia tego, co przydarzyło się Heideggerowi – i tego, co w ogóle stało się z „kondycją ludzką” w XX w. – jest przełamanie przez niego mitu platońskiej jaskini, metafory, w której myśliciele współcześni doszukują się pierwszego projektu państwa totalitarnego (mit ten zresztą umieszcza Platon w VII księdze *Państwa*, w którym idealne państwo faktycznie konstruuje). Obraz platońskiej jaskini był jednocześnie wielką pedagogiczną obietnicą – Platon przedstawia filozofa jako tego, który z mroku i świa-

ta cieni wydobywa się na powierzchnię, ku światłu, i dociera do prawdziwego bytu. Zdobywa tam wiedzę o prawdzie, a następnie powraca do jaskini i zanosi tę wiedzę swoim dawnym towarzyszom, którzy wciąż tkwią przykuci łańcuchami do ściany jaskini. Jest to ten moment w europejskim myśleniu, który w latach 70. ubiegłego wieku tak mocno eksponował Michel Foucault – moment, w którym wiedza staje się władzą, a filozofia przestaje być wolnością myślenia, a zaczyna stawać się narzędziem zniewolenia w służbie władzy, ustanawiając hierarchię dyskursów i formułując oficjalną narrację. Tą oficjalną narracją w żadnej mierze nie dysponował ironiczny Sokrates, ale Platon niewątpliwie już tak. Jego paradygmatyczny filozof jest w posiadaniu wiedzy, która uchodzić ma za obiektywną, bo jest wspar-



ta autorytetem transcendencji, a do której dostęp mają tylko nieliczni, wtajemniczeni, i według tej wiedzy zaczyna urządzać rzeczywistość. Dla Platona wzorzec rzeczywistości jest niezmienny i gotowy, hierarchia wszelkich wartości jest raz na zawsze ustalona – pozostaje tylko wcielić to wszystko w życie.

I to właśnie Arendt nazywa początkiem tradycji filozoficznej Zachodu czy początkiem filozofii politycznej – moment, w którym został ustanowiony transcendentny autorytet, w którym myślenie uznało, że istnieje prawda obiektywna, mająca jednocześnie charakter aksjologiczny i normatywny, stanowiąca więc nieodpartą obietnicę pedagogiczną – obietnicę wiecznej sprawiedliwości i doskonałego ładu w państwie, obietnicę i egzystencjalną, i polityczną zarazem. Za to wszystko po II wojnie światowej sam Platon zapłacił słoń: stał się pierwszym chłopcem do bicia, szarlatanem, którego obietnica okazała się szokującym kłamstwem, niektórzy – np. Karl Popper – uznali go wręcz za prototyp Stalina. Sosnowska pisze jednak, że choć nie jest to opinia w pełni uzasadniona, to jednak z pewnością był Platon filozoficznym terrorystą, a jego myślenie na ponad 20 stuleci ustanowiło porządek dyskursu nazywany metafizyką obecności, czyli taki schemat hermeneutyczny, w którym człowiek interpretował samego siebie z uwagi na wieczny byt absolutny, którego z kolei, co paradoksalne, nigdy nie mógł do końca poznać. Schemat ten stał się przedmiotem dekonstrukcji Kanta, Nietzschego i wreszcie Heideggera, który już definitywnie „zerwał nić tradycji” i zaproponował nowe rozumienie świata i człowieka.

Ale Heidegger Platonem zajął się wcześniej, jeszcze w latach 20. ubiegłego wieku, kiedy żaden z ludzi nie mógł sobie nawet wyobrazić tego, co miało spaść na świat. Sosnowska w swojej pracy dużo miejsca poświęca na oświetlenie genezy tego etapu filozofii Heideggera, którego ukoronowaniem była publikacja *Bycia i czasu*. Autorka, skrupulatnie tropiąc inspiracje myśli Heideggera, podkreśla, że o ile Nietzsche tylko odwrócił platoński schemat myślenia o człowieku i świecie, o tyle Heidegger, przekształcając fenomenologiczną metodę swojego nauczyciela Edmunda Husserla, schemat ten raz na zawsze rozsadził. Analityka egzystencjalna, którą Heidegger uprawia w *Byciu i czasie*, nie rozpoczyna myślenia od transcendentnego bytu absolutnego, ale od samego człowieka – czyli Heideggerowskiego *Dasein*, które z konieczności istnieje w ten sposób, że jakoś rozumie i siebie, i świat. Istnienie *Dasein* polega na nieustającym pytaniu o sens bytu, czyli, zdaniem Heideggera, o bycie. I sensu własnego istnienia nie odnajduje w platońskich zaświatach, ale w swojej własnej, niepowtarzalnej egzystencji – w autentyczności. To punkt, w którym Heidegger dokonuje wielkiego zerwania z tradycją filozoficzną i jednocześnie otwiera nową perspektywę, eksploatowaną później przez wielu myślicieli egzystencjalnych. Sosnowska w swojej pracy podkreśla, że perspektywa ta – choć nowa i intelektualnie atrakcyjna – nie była w stanie sprostać wyzwaniu, które rodzący się niemiecki totalitaryzm rzucił myśleniu, właśnie dlatego, że była perspektywą indywidualnej autentyczności. Wielka pedagogiczna obietni-

ca filozofii w Heideggerowskim wydaniu nie dotyczyła już państwa doskonałego i wiecznego ładu na ziemi, ale po prostu jednostkowej autentyczności, pełni własnego bycia, wyzwolenia od publicznej gadaniny anonimowego *Się* – egzystencjalnej konwersji, dzięki której *Dasein* uwalnia się od oficjalnego dyskursu i poprzez radykalną decyzję podejmowaną w obliczu *Trwogi* przed śmiercią może po prostu wybrać siebie, najbardziej własny sposób istnienia. A na to nie każdy potrafi się zdobyć, zwłaszcza gdy żyje w społeczeństwie masowym.

To wszystko Heidegger zawarł w *Byciu i czasie* opublikowanym w 1927 r. Za tę książkę filozof dostał profesurę, po czym pograżył się w kryzysie twórczym, a w 1933 r. był już członkiem NSDAP i z nazistowskiego nadania rektorem uniwersytetu we Fryburgu. Jak to mogło się stać? Czy właśnie to Heidegger uważał za swój najbardziej własny sposób bycia, za swoją autentyczność? To pytania, z którymi Arendt próbowała się uporać przez wiele lat po wojnie, podejmując tytaniczny wysiłek samotnego myślenia, już na emigracji w Stanach Zjednoczonych. I na trop odpowiedzi trafiła dopiero w 1961 r., podczas jerozolimskiego procesu Eichmanna, po którym sformułowała swoją słynną tezę o banalności zła, którą utożsamiła z bezmyślnością (przy czym przez myślenie rozumie Arendt w tym kontekście zdolność do wydawania sądów dotyczących wartości: sądów o dobru i pięknie). Eichmann podczas procesu następującymi słowami opisał swój stan po upadku III Rzeszy: „Poczułem, że czeka mnie trudne, pozbawione przywódcy życie pojedyncze-

go człowieka. Nie dostanę od nikogo wytycznych, nikt mi już nie wyda żadnych rozkazów ani poleceń, nie będzie konsultacji w sprawie odnośnych rozporządzeń” (Hannah Arendt, *Eichmann w Jerozolimie. Rzecz o banalności zła*). „[...] trudne, pozbawione przywódcy życie pojedynczego człowieka” – wydaje się, że zdanie to nie wyraża nic więcej, niż treść pedagogicznej obietnicy Heideggerowskiej filozofii – obietnicy ekstremalnie indywidualnej, autentycznej egzystencji, która dla Eichmanna, działającego bezmyślnie w ramach oficjalnego dyskursu, jest czymś przerażającym.

Sosnowska podkreśla w swojej pracy, że Heidegger był sierotą po tradycji filozofii Zachodu, którą uprzednio sam w pełni świadomie zdekonstruował. Autorka zdaje się mówić, że Heidegger musiał tak skończyć, bo gdy już z tradycją zerwał, znalazł się w aksjologicznej pustce, przez co właśnie stał się tak podatny na oficjalną narrację dyskursu III Rzeszy. Ponieważ nie dysponował transcendentnym, obiektywnym kryterium, które pozwalałoby mu ocenić to, co się działo w Niemczech w latach 30. i później, nie mógł przeciwstawić prawdy autentycznej, zawsze pojedynczej egzystencji, innej prawdziwie, która porwała tłumy.

Pomimo bezradności intelektualnej Heideggera, bezpowrotnego zerwania nici tradycji i katastrofy XX w., Arendt utrzymuje jednak, że w filozofię wciąż wpisana jest pewna obietnica pedagogiczna, choć już niezwykle subtelna i skromna. W swoich późnych tekstach autorka *Kondycji ludzkiej* nieprzypadkowo zajęła się fenomenem samego myślenia i jego związku z moralnością. Bo dla niej wła-

śnie do tego sprowadza się sens wysiłku myślenia w czasach rozmycia podmiotu, panowania bezosobowych struktur, traumy po totalitaryzmie i strachu przed apodyktyczną narracją – do myślenia samego, które może człowieka ochronić przed złem, przynajmniej tym banalnym. „Pojawienie się wiatru myśli nie jest poznaniem; to zdolność oddzielenia dobra od zła, piękna od brzydoty. A to w rzadkich przypadkach, w chwilach krytycznych,

może ustrzec przed katastrofą przynajmniej własne »jak“, pisze Arendt w jednej z ostatnich swoich prac, której tytuł brzmi po prostu: *Myślenie*.

Łukasz Prus

Paulina Sosnowska, *Arendt i Heidegger. Pedagogiczna obietnica filozofii*, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2015.

Dwugłos o spotkaniu z Piotrem Weiserem

Izrael oczami Hłaski i Weisera

Elżbieta Zawodnik

Dlaczego Hłasko w Izraelu? Jak mówić o Izraelu, nie czytając prozy Marka Hłaski? Jak czytać opowieści Hłaski, nie będąc w Izraelu? Takie i inne pytania pojawiły się we wtorek 19 stycznia w radomskiej bibliotece na spotkaniu autorskim z radomianinem dr. Piotrem Weiserem. Wieczór poświęcony jego najnowszej, wydanej w 2015 r. książce *To nie ja wymyśliłem ten kraj. Izrael Hłaski* poprowadził prof. Dariusz Trzeźniowski z radomskiego Uniwersytetu Technologiczno-Humanistycznego.

Piotr Weiser jest historykiem, antropologiem literatury i kultury, pracownikiem naukowym Instytutu Bliskiego i Dalekiego Wschodu Uniwersytetu Jagiellońskiego. Doktorat z historii i kultury Żydów

obronił w Katedrze Judaistyki UJ. Interesuje się historią i kulturą Izraela, literaturą Zagłady. Jest także absolwentem V Liceum Ogólnokształcącego im. R. Traugutta w Radomiu i do rodzinnego miasta wraca z radością.

Spotkanie w radomskiej bibliotece, zorganizowane we współpracy z radomskim oddziałem Stowarzyszenia Nauczycieli Polonistów, przebiegało w konwencji rozmowy dwóch uczonych, ale niewykluczającej z uczestnictwa przybyłych czytelników. Prof. Dariusz Trzeźniowski prowokującymi pytaniami przywoływał fragmenty książki, a autor ze swadą o niej opowiadał. Piotr Weiser z pasją mówił o swojej fascynacji prozą Marka Hłaski, charakteryzował sposoby istnienia w niej ludzi, krajobra-

zów i problemów Izraela. Według autora Hłasko „Został odkrywcą duszy. Upartej i pięknej”. *Izrael Hłaski* to esej naukowy, który łączy dociekliwość, rzetelność badacza ze swobodą przyjaznego autorowi czytelnika – krytyka. Dodatkowym elementem pogłębiającym percepcję jego prozy jest jej odczytanie w kontekście powieści i opowiadań Ernesta Hemingwaya. Weiser porównuje bohaterów („Ester jest Marią?”), analizuje narrację, rozszyfrowuje schematy fabularne obu twórców. Z wypowiedzi autora wyłania się obraz Marka Hłaski – wędrowca, podglądacza, który proponuje czytelnikom różne obszary do poznania: kulturę, kobiety, emocje, język, film.

Dwa spojrzenia

Z przyjemnością i budzącym szacunek podziwem słuchało się wypowiedzi autora świadczących o głębokiej znajomości twórczości Marka Hłaski. „Rozmowa dwóch uczonych” przepełniona była cytataми, obfitowała w nowe skojarzenia, emanowała nieukrywaną sympatią do tradycji i kultury Izraela. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że jednocześnie była to okazja do zobaczenia współczesnego Izraela oczami Piotra Weisera.

Dwa spojrzenia, dwa sposoby mówienia, które się przenikają, uzupełniają, które trudno rozdzielić. Nie traćmy z oczu Piotra Weisera, śledźmy jego naukowe dokonania w oczekiwaniu na kolejną publikację... i kolejne ciekawe spotkanie.

Elżbieta Zawodnik



Takie powroty też są możliwe. Subiektywnie o spotkaniu z dr. Piotrem Weiserem

Marta Wiktoria Trojanowska

Choćby nie wiem kim został ulubiony uczeń, jaką drogę by przeszedł, po ilu latach powrócił, dla nauczyciela na zawsze zostanie Piotrusiem z pierwszej klasy, potem drugiej, trzeciej... Nie mam i nie będę miała w życiu podobnego doświadczenia – spotkania dawnego ucznia, dlatego obserwowałam wszystko, co się dzia-

ło tego dnia w bibliotece z ciekawością i sentymentem, który i mnie mimowolnie się udzielił.

*

Zimowe popołudnie. Za chwilę rozpocznie się spotkanie z dr. Piotrem Weiserem – autorem książki *To nie ja wymyśliłem*



Piotr Weiser z nauczycielkami V LO, od lewej: Jadwiga Kocur, Irmina Nowicka, Elżbieta Zawodnik i dyrektor Elżbieta Bartkiewicz

ten kraj. Izrael Hłaski. Pomysł zaproszenia Piotra Weisera do radomskiej biblioteki wyszedł ze strony jego dawnej nauczycielki, polonistki Hanny Jaworskiej z V Liceum Ogólnokształcącego im. R. Traugutta w Radomiu.

Patrzę na skromnego, sympatycznego człowieka, którego szkolne dzieje odbijają się przez chwilę w oczach siedzących w pierwszym rzędzie i patrzących na dawnego ucznia polonistek. Patrzę i cieszę się, że i takie powroty do naszego miasta są możliwe, z tarczą, chciałoby się napisać... Że dawny Piotruś wraca jako Piotr – historyk i antropolog literatury, pracownik naukowy Instytutu Bliskiego i Dalekiego Wschodu Uniwersytetu Jagiellońskiego, były sekretarz naukowy Żydowskiego Instytutu Historycznego. A więc nie tylko z bogatym dorobkiem, ale i kilkoma mostami, które rzetelną pracą naukową porzucił między kulturami (do kroniki biblioteki wpisze się po spotkaniu w trzech językach: polskim, hebrajskim i jidysz).

*

Spotkanie w radomskiej bibliotece dotyczy przede wszystkim książki poświęconej Markowi Hłasce – a dokładnie jego pobytowi w Izraelu. Autor podkreśla, że nie jest to typowe opracowanie naukowe, esej raczej, a więc rzecz skomponowana wedle literackich prawideł, choć przy tym obiektywna naukowo. Słuchając o tej książce i o pracy nad nią, ja odbieram ją jako świadectwo wielkiej pasji. Niełatwej pasji – bo Hłasko nie od dziś gra przecież na nosie historykom literatury i wymyka się wszelkim możliwym schematom. Niełatwa pasja, niełatwy rozdział historii pol-

skiej literatury, a jednak Piotr Weiser zdaje się zachowywać zdrowy dystans wobec człowieka, od którego „wszyscy byli odwrócenii”. Nie każdy ma w sobie tyle cywilnej odwagi, aby chociaż powalczyć to tę obiektywność. A autor dzieli się z uczestnikami spotkania wiedzą, nie emocjami... Dzieli się wynikami kwerend, nie oceną...

„Bo każda ziemia, choćby najgorsza, jest prawdą, a każdy raj, choćby najlepszy, jest mimo wszystko kłamstwem” – pisał Hłasko w *Następnym do rajju*. To właśnie o te kłamstwa wypytuje Weisera dr Dariusz Trzeźniowski. To, co najważniejsze, ma jednak miejsce już po spotkaniu.

*

Patrzę na skromnego, sympatycznego człowieka, którego szkolne dzieje odbijają się przez chwilę w oczach siedzących przy kawiarnianym stoliku nauczycielek z V LO. Kilka z nich odeszło już na emeryturę. Ale nadal pamiętają Piotrusia, który po latach przyjechał do Radomia jako Piotr, i który kończy kolejną poważną monografię. Właśnie teraz jest czas na wspomnienia, które zaczynają wylewać się z pamięci. Na serdeczne uśmiechy, śmiechy nawet, z tych życiowych meandrów i przewrotów.

*

Herbata nie zdążyła wystygnąć, czas wracać i dalej przerzucać mosty...

Marta Wiktoria Trojanowska



„Dream” Julity Malinowskiej w nowej radomskiej galerii

Lidia Ziemińska

Julita Malinowska „Dawidek”

Na mapie Radomia pojawiła się niedawno nowa galeria sztuki współczesnej – Galeria 58. Mieści się w kamienicy przy Żeromskiego 58, a jej właścicielkami są dwie artystki – Edyta Jaworska i Weronika Elertowska, absolwentki Akademii Sztuk Pięknych, a obecnie nauczycielki w Zespole Sztuk Plastycznych w Radomiu.

Galeria 58 zapoczątkowała swoją działalność kulturalną we wrześniu (26 września 2015 r.) działaniem artystycznym zatytułowanym „Gry” Anny Matuszewskiej z kręgu sztuki street artu. Artystka zaaranżowała i zmieniła swym działaniem przestrzeń na podwórku wokół galerii. Wykorzystała do tego celu komórki na narzędzia, na których nakleiła swoje wielkoformatowe

grafiki – odbitki linorytów (postacie dzieci wielkości naturalnej). Dzieci były w ruchu – skakały, biegały, zostały uchwycone w momencie przykucnięcia bądź wychylenia się, odchylenia się, zagładania do środka czegoś itp. Sztuka Anny Matuszewskiej została bardzo życzliwie przyjęta przez mieszkańców kamienicy. Marzeniem właścicielek galerii jest dotarcie do zwykłych, przeciętnych mieszkańców naszego miasta, nieinteresujących się sztuką. Projekt Anny Matuszewskiej doskonale wpisal się w założenia Gallerii 58.

12 grudnia 2015 r. otwarto w Gallerii 58 wystawę malarstwa „Dream” Julity Malinowskiej.

Artystka ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, Wydział Malarstwa, dy-



Julita Malinowska „Ćwiczenia jogi”

plom obroniła z wyróżnieniem w 2005 r., w roku 2012 uzyskała tytuł doktora sztuki na macierzystej uczelni. Jest jedną z najbardziej rozpoznawalnych postaci młodego pokolenia, Kompas Młodej Sztuki umieścił ją w czołówce młodych polskich artystów. Stypendystka Uniwersytetu w Wolverhampton w Wielkiej Brytanii oraz Fundacji Pro Artibus w Finlandii. W 2006 r. otrzymała stypendium twórcze Miasta Krakowa, a w 2005 zajęła II miejsce w konkursie Samsung Art Master. Swoje prace prezentowała na 36 wystawach indywidualnych, m.in. w Austrii, Finlandii, Francji, Hiszpanii, Stanach Zjednoczonych, Szwajcarii, na Ukrainie i w Polsce. Jej malarstwo było wielokrotnie eksponowane podczas targów sztuki w Belgii, Holandii,

Korei, Niemczech, Stanach Zjednoczonych, Szwajcarii, Wielkiej Brytanii i w Polsce.

Na radomskiej wystawie pokazała obrazy wykonane w technice olejnej na płótnie, takie jak: „Magdalena”, „Dawidek”, „Rozstania”, „Dream”, „Victory II”, „Plaża” oraz małe formaty „Ćwiczenia jogi”. Mnie najbardziej spodobały się dwa obrazy: „Dream” oraz „Dawidek”. Kompozycja płótna „Dream” jest syntetyczna, mimo że zawiera elementy realistyczne (odpoczywające na unoszących się na wodzie materacach postacie ukazane w skrótach perspektywicznych). Błogostan, który dociera do nas z obrazu, wnosi ukojenie i przyjemne odczucia. Patrząc na obraz, mamy ochotę natychmiast znaleźć się na powierzchni tej spokojnej, stonowanej ko-

lorystycznie wody, z której emanuje bezbrzeżne bezpieczeństwo... a może oni nie płyną, a lewitują? „wyjęci” z szarobłękitnego tła...

Zupełnie inny jest „Dawidek” – obraz małego formatu. Autorka (a i widz) podpatruje tu moment bardzo intymny, pełen czułości zapis relacji między ojcem a małym synkiem. I znów perfekcyjna kompozycja z podniesioną wysoko linią horyzontu, plaża zlewa się delikatnie z wodą, która jest tylko o pół tonu ciemniejsza od piasku...

Wystawie towarzyszyło też kameralne spotkanie autorskie z malarką, które odbyło się 16 stycznia 2016 r.

Julita Malinowska zaprezentowała na nim swoje prace w postaci pokazu slajdów. Obejmowały twórczość od roku 2004 do lat ostatnich. Były to prace wielkoformatowe, powyżej dwóch metrów długości, jak też małe, kameralne formaty, czy też formaty nietypowe, horyzontalne, o wymiarach 33 na 150 cm. Wśród różnych cykli uwagę skupiały „Gesty”. Po prezentacji slajdów artystka odpowiadała na pytania uczestników spotkania, zdradzając tajniki warsztatu i pracy, wspominała też studia w pracowniach prof. Jacka Waltośa i prof. Andrzeja Bednarczyka. Zdradziła, że czerpie inspiracje z podróży po świecie i podczas wielotygodniowych wyjazdów zbiera materiał do swoich obrazów w postaci wykonywanych cyfrowo fotografii. Maluje po powrocie do Polski, w swojej pracowni w Warszawie, komponując obrazy z różnych scenek zaobserwowanych i utrwalo-nych na różnych plażach świata. Malując, słucha audiobooków. Pracuje w samotności, często po 12 godzin. Obrazy kompo-

nuje bardzo starannie, nie przemalowuje gotowych kadrów w postaci fotografii cyfrowej, a stwarza całkiem nowe kompozycje, nowe światy. Trudno określić czas, w którym powstają i który reprezentują – występują bowiem niejako poza czasem, poza przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. To także afirmacja życia w różnych jego przejawach. Malinowska bawi się formą, często stosuje multiplikacje postaci, czasami korzysta z form syntetycznych, niedopowiedzianych. Postacie są „wypreparowane” z tła, którym przeważnie jest morze, woda. Woda spełnia funkcję oczyszczającą, swoistego katharsis. Profesor Jacek Waltoś określił jej obrazy (w katalogu wystawy) jako „utrwalone malarsko wakacyjne igraszki, jak sceny w rajju”.

Malarstwo Julity Malinowskiej można było oglądać do końca stycznia 2016 r., w lutym Galeria 58 zaprasza na odsłonę twórczości Piotra Piasta z Radomia i Marty Stysiak z Warszawy.

Lidia Ziemińska

Wystawa malarstwa Julity Malinowskiej „Dream”, Galeria 58, ul. Żeromskiego 58, 12 grudnia 2015 r. – 31 stycznia 2016 r.



Od punktu do punktu, linia za linią

Jacek Waltoś

Na wystawie rysunków Zbigniewa Kamińskiego w stanie wojennym, w jednej z pracowni krakowskich, Zbylut Grzywacz zarzucił autorowi odwrócenie się od zdarzeń i problemów, które nas dojmująco dotykały. Malarz interweniujący w realia życia codziennego widział w postawie młodszego kolegi ucieczkę od dawania świadectwa. Mówił żywo i żarliwie, a autor abstrakcyjnych rysunków milczał. To milczenie było wymowne, jak cały ten pokaz „nie na temat” bieżących zdarzeń. Zapewne – kreślenie według geometrycznego porządku figur o niezidentyfikowanych odniesieniach, mnożenie kresek, linii prostych i półprostych, a także łuków i kół od cyrkla, ich pulsacja i zagęszczanie w kontraście do pustych połączy papieru, a wszystko to przy pomocy ołówka o zmiennie natężonym śladzie, od srebrnej szarości do czerni, dawniej na białym, teraz najczęściej na tle w odcieniu écru – to postępowanie według wyznaczonych reguł, ale z niewiadomym wizualnie rozwiązaniem, zasady współrzędnych, rów-

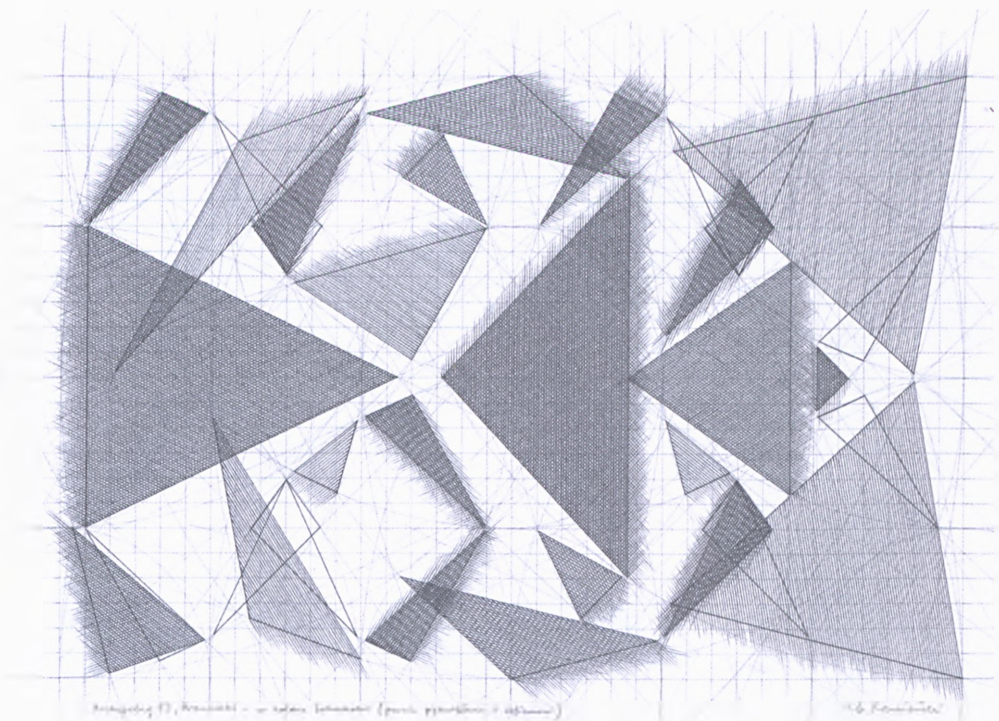
noległych lub przeciwstawnych kierunków i napięć, linie prowadzące z determinacją od punktu do punktu, przez punkty do wzorów zwartych lub rozrzuconych, zamkniętych lub otwartych – było i jest dyktowane potrzebą odwrócenia oka od płynących z zewnątrz bodźców i obrazów, skierowania się ku wewnętrznym zasadom i zagadkom abstrakcyjnych wyobrażeń. Może właśnie ze względu na bogactwo świata wrażeń i obserwacji zjawia się taki przymus odwrócenia wzroku ku nieznannej jeszcze, a przywoływanej przestrzeni, w której panują czyste elementy porządku, chociaż mały błąd przy prowadzeniu wykresu wyraża się niepokojącym zaburzeniem. Bo i takie zdarzenia przewiduje w pracy autor sublimowanych rysunków o podobieństwie do ezoterycznych zaklęć albo praktyk dotąd nieznanych na nierozpoznawalnych terenach, z wpisaną w nie wędrówką w czasie. Tworzy się nowa iluzja rzeczywistości równoległej, może wirtualnej, a najpewniej metaforycznej, na pozór od nas oddalanej, a przybliżającej stosunki,

metody i znaki zdające się odnosić do codzienności tak samo, jak do idei filozoficznych lub modeli matematycznych. Paradoksalna ścieżka, dukt abstrakcyjnego rysunku obarczonego znaczeniami (bo taka jest wartość każdego wyobrażenia) ku iluzji świata bezmiennego.

Skupienie i cisza zdają się zasadniczymi warunkami tej twórczości wyrażającej owo skupienie i ciszę – jako wartość. Wieloletni i rozpoznawalny idiom Zbigniewa Kamieńskiego ceniony przez znawców tej dziedziny lokuje autora na „archipelagu” mistrzów czerni i bieli, takich jak Tadeusz Kulisiewicz, Adam Hoffmann, Józef Gielniak, Jacek Gaj czy Tadeusz Brzozowski i Jerzy Nowosielski z ich rysunkowym dorobkiem. Umowność linii i plamy, niuanse modulacji lub mocne kontrasty i nasycenia zrosnięte są w genezie rysunku z dziedziną pisma i druku, i wokół niego rozwijanych wzorów: symbolicznego lub obrazowego tekstu. Nie dziwi więc literacka swada u rysownika tak ascetycznego i hermetycznego, jakim jest Zbigniew Kamieński. Korespondencja, jaką od wielu lat prowadzi z wieloma ludźmi, analityczne i wnikliwe recenzje akademickie, uprawianie „odręcznego” pisania zaowocowały ostatnio serią świetnych artykułów w „Miesięczniku Prowincjonalnym”, dotyczących rzeźby pomnikowej, jej artystycznym i ideologicznym uwarunkowaniom. Zajęcie się rzeźbą w przestrzeni miejskiej, tą najbardziej materialną ze sztuk tkwiącą w obszarze życia społecznego zdaje się rekompensować autorowi i czytelnikowi nieobecność opisu codziennego świata w jego rysunkowych kompozycjach. Chociaż i one nie są pozbawione zapisanych dla siebie i widza słów dotyczących zamierzeń, etapów i dat pracy. Oprócz

tej „legandy” ułatwiającej poruszanie się po rysunkowym terytorium odnajdujemy w wizualnej ekspresji form geometrycznych raz stan harmonii, a raz konfliktu – swoistą dramaturgię wypadków rysowania opartego na miarach, linijce i cyrku. Na marginesach arkusza papieru autor zamieszcza również personalne dedykacje lub poetyckie cytaty. Pisanie i rysowanie przenikają się integralnie, są jak dwa skrzydła tej samej inwencji w życiu duchowym autora lub dwie strony jego artystycznego temperamentu. Zastanawiając się ostatnio nad możliwością pojawienia się wartości duchowych w trakcie pracy lub w jej wytworze, autor zadał sobie pytania: „Czy dzieje się to wówczas, gdy pod »zamkniętym« rysunkiem umieszczam jego »wymyślony« tytuł w takim miejscu, że można odczytać go, nie spuszczać wzroku z rysunkowej konstrukcji?“, „Czy wówczas słowo staje się ciałem i zamieszkuje wśród nas, wyczulonych na język sztuki?“.

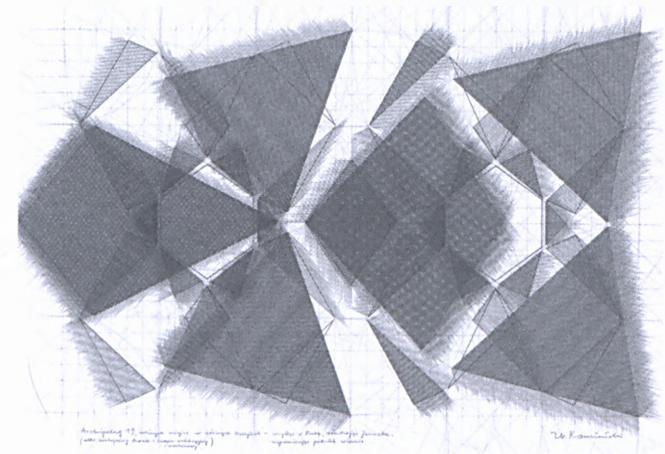
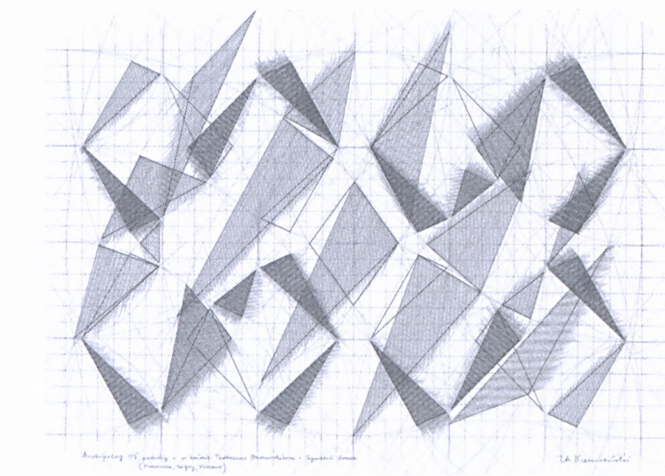
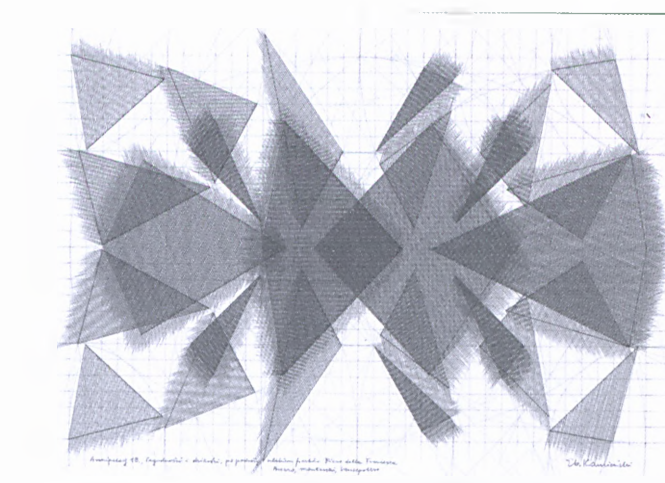
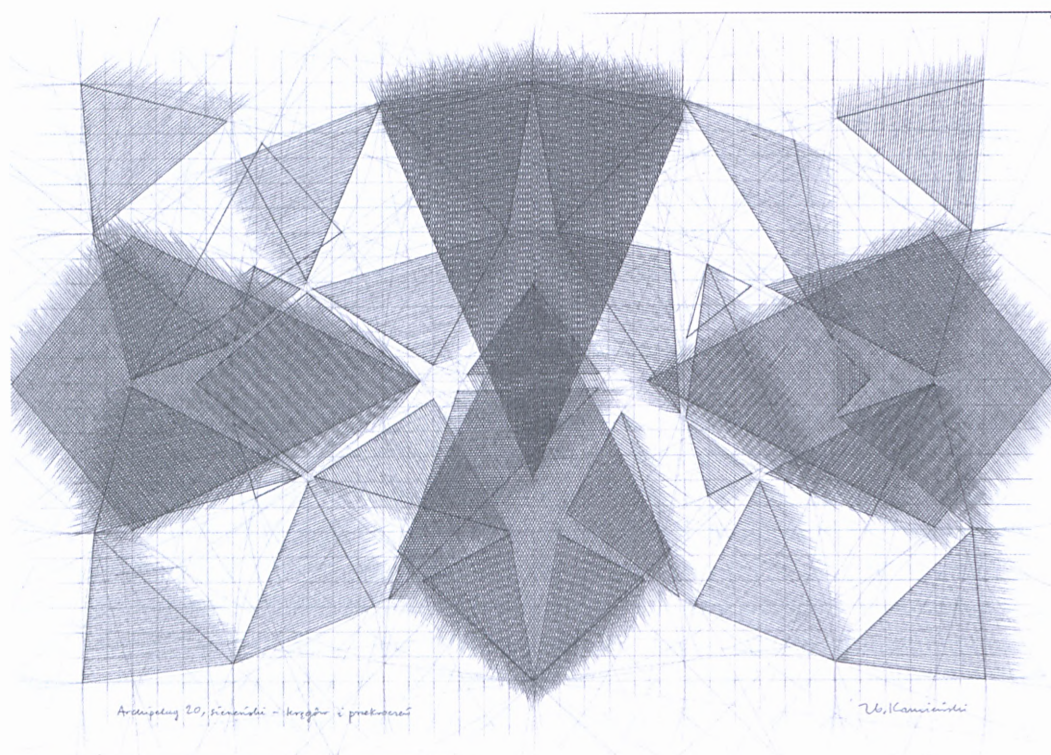
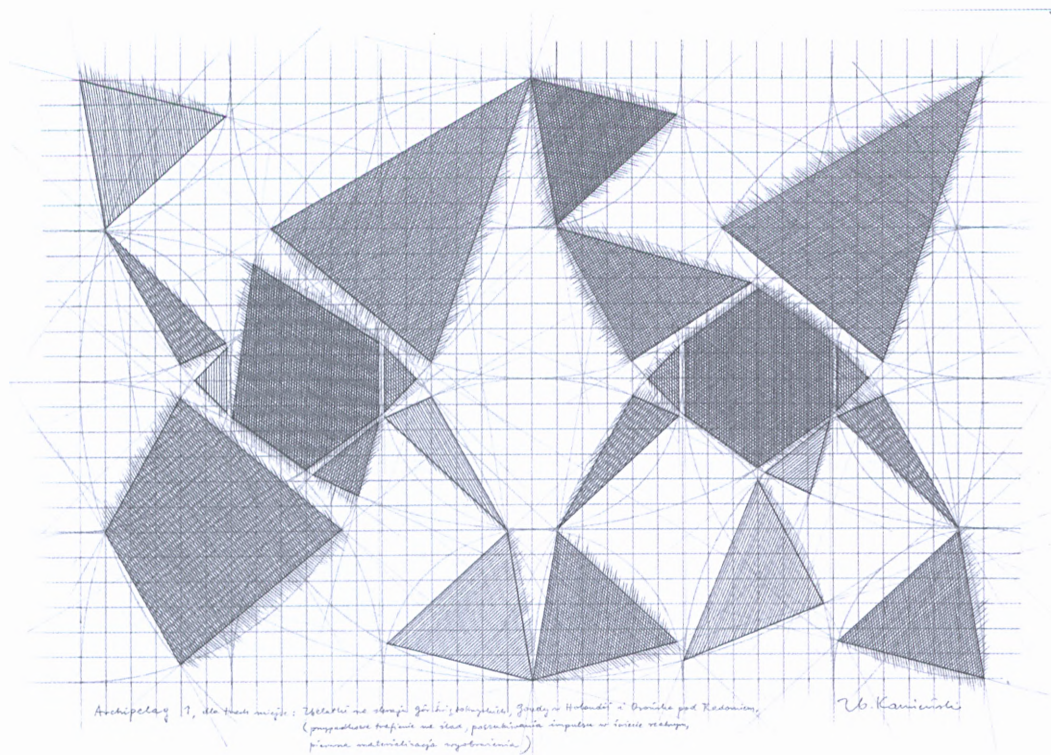
Jacek Waltoś
Kraków, styczeń 2016



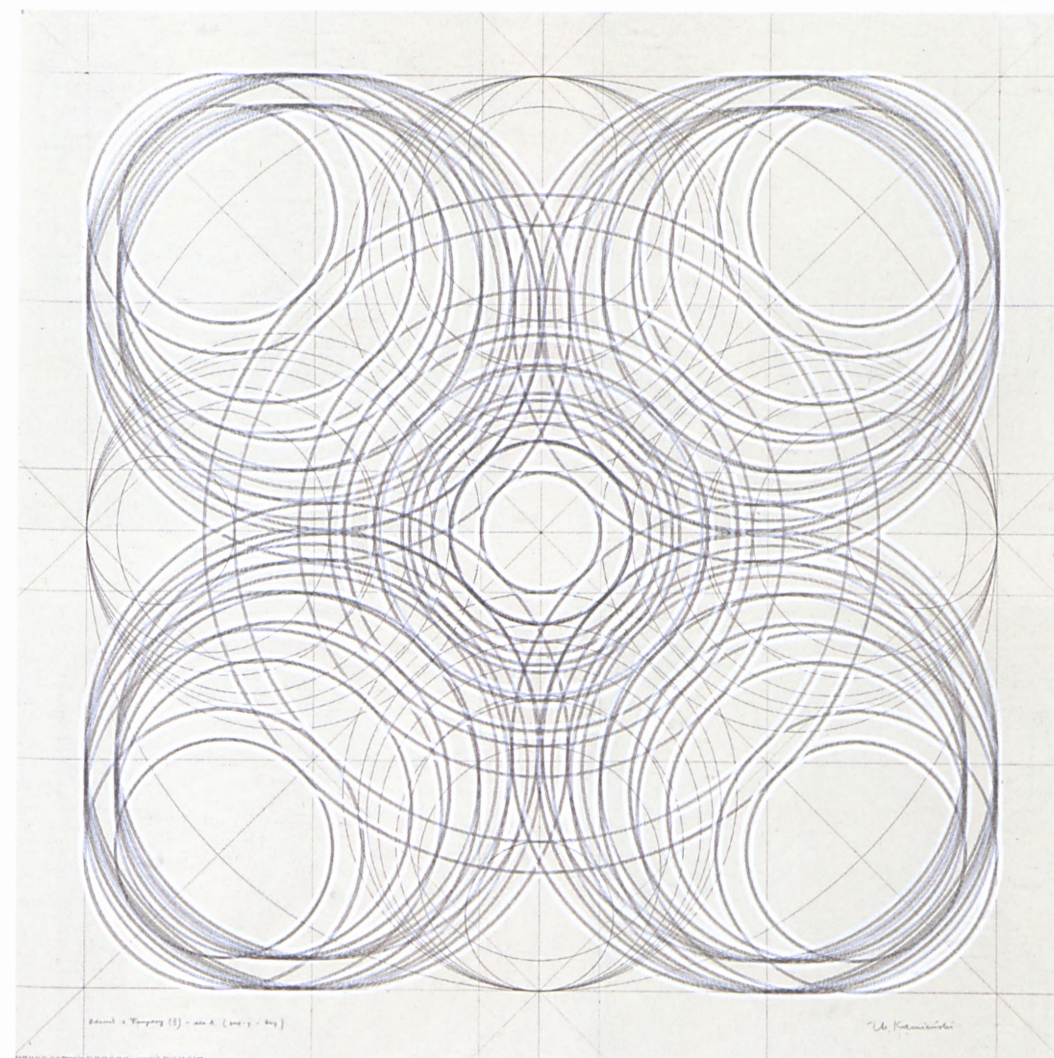
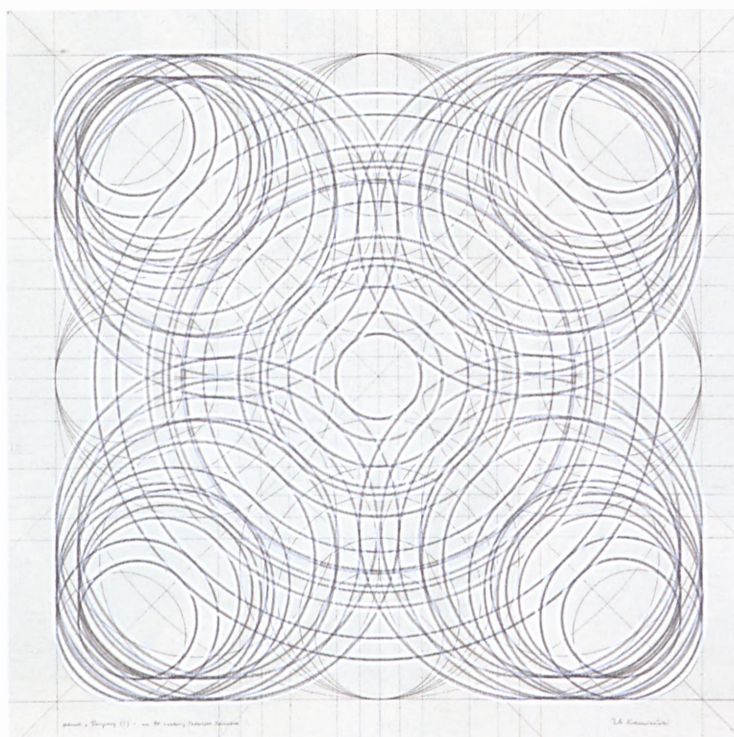
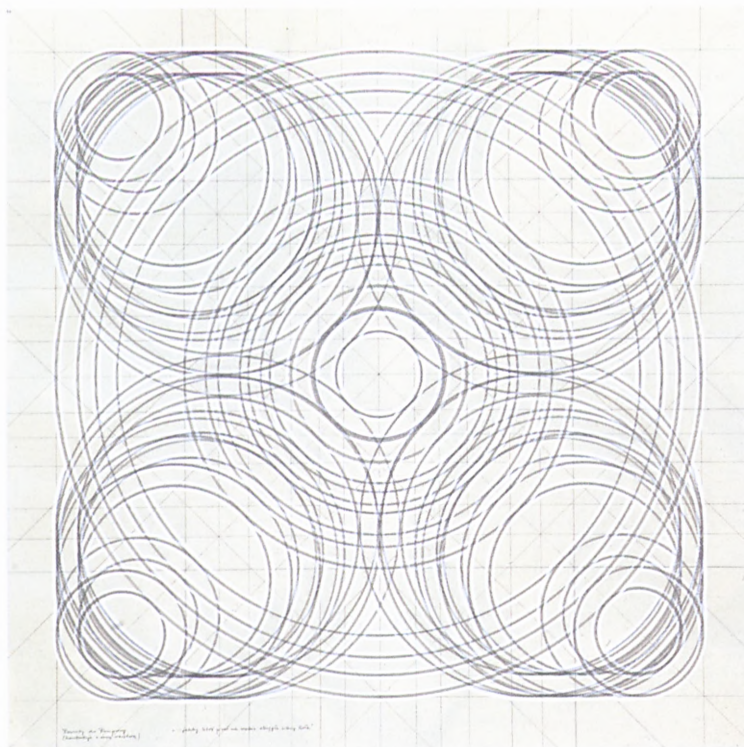
Stanisław Zbigniew Kamieński (ur. w 1951 r. w Radomiu). Studiował w ASP w Krakowie i Warszawie w latach 1970–1975. Dyplom z wyróżnieniem w Pracowni Litografii prof. Mariana Rojewskiego na Wydziale Grafiki ASP w Warszawie w 1975 r. W latach 1975–1987 pracował jako asystent i adiunkt w Pracowni Litografii na Wydziale Grafiki ASP w Warszawie, w 1989 r. rozpoczął pracę w Politechnice Radomskiej (obecnie Uniwersytet Techniczno-Humanistyczny w Radomiu), w 2000 r. otrzymał tytuł profesora w dziedzinie sztuk pięknych. Obecnie prowadzi zajęcia dydaktyczne z rysunku i malarstwa na Wydziale Sztuki UTH w Radomiu.

Współzałożyciel Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Radomiu, w latach 1990–2000 uczył tam przedmiotu rysunek z malarstwem. Od 1991 do 2008 r. pracował w Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu, organizator wystaw polskiego rysunku współczesnego w latach 1978–2006. W 2007 r. otrzymał Radomską Nagrodę Kulturalną.

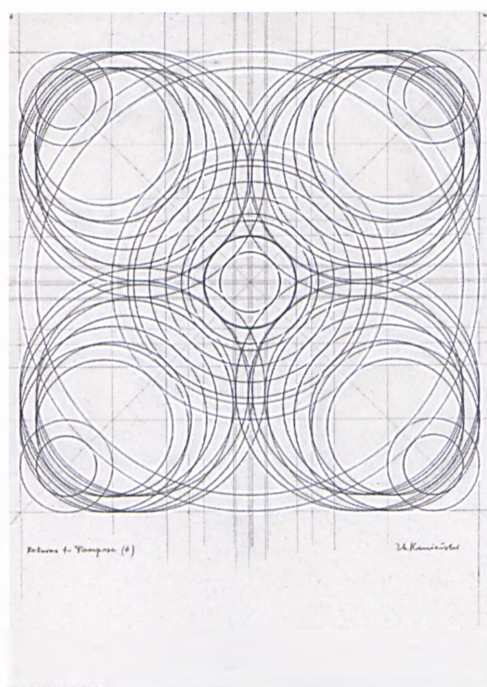
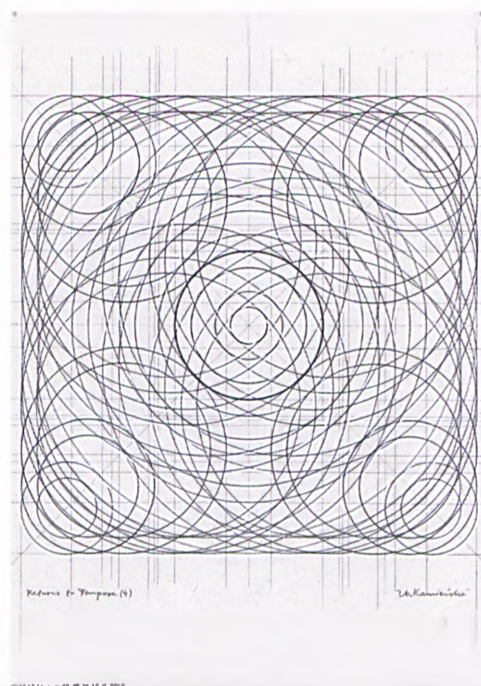
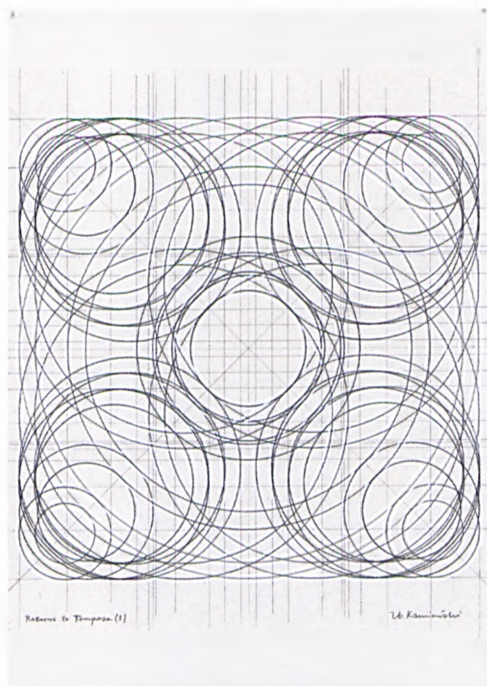
Uprawia grafikę (do 1985), rysunek, malarstwo, fotografię i plakat. Jest kuratorem wystaw, redaktorem albumów o sztuce, od kilkunastu lat członek zespołu redakcyjnego „Miesięcznika Prowincjonalnego”, w którym publikuje fotografie i teksty o sztuce, prowadzi też „Galerię Prowincjonalną” i jest autorem okładek, jedna z nich zdobyła wyróżnienie w ogólnopolskim XIII Konkursie na Prasową Okładkę Roku GrandFront 2014.



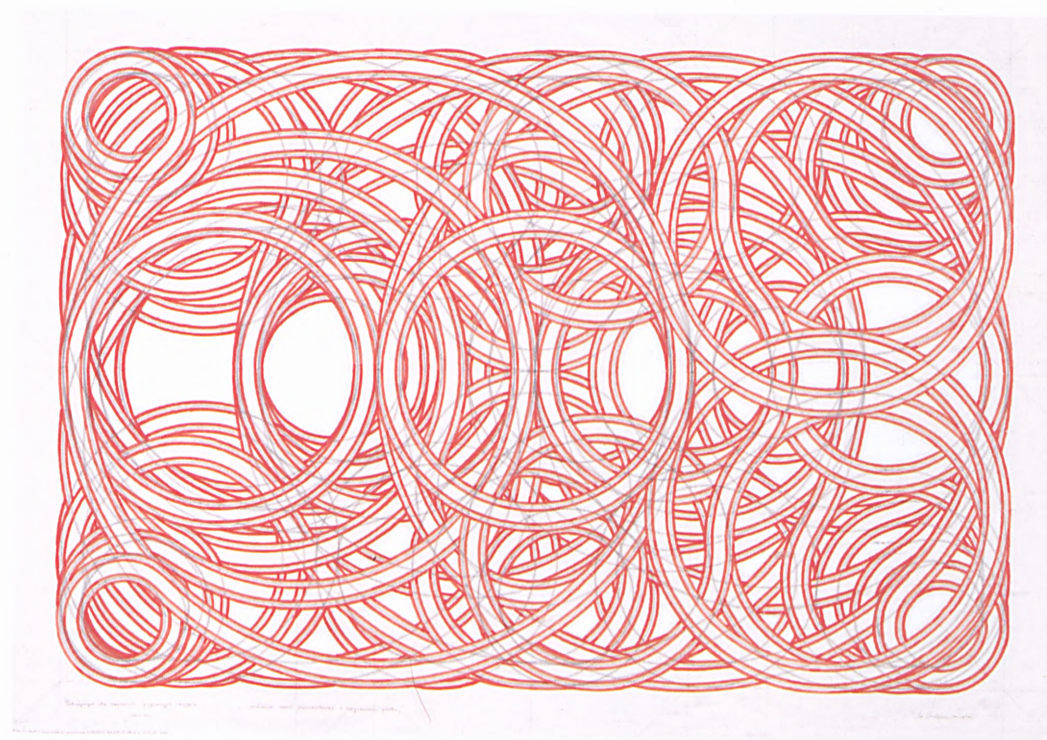
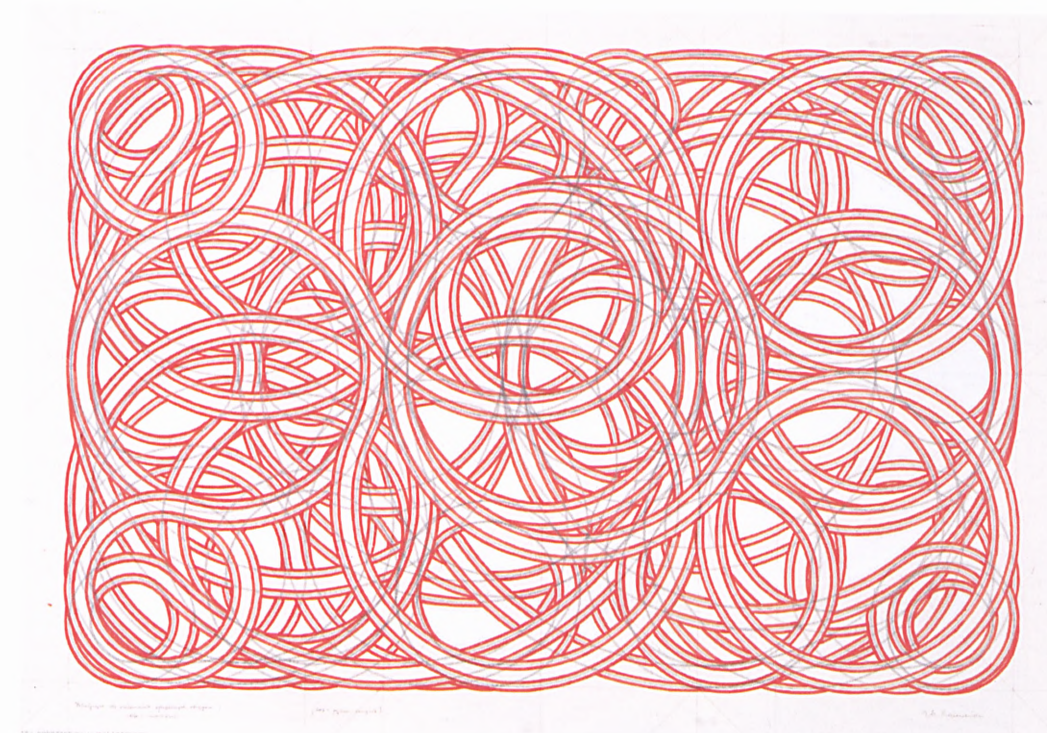
6 rysunków z cyklu
 „Archipelagi albo Pokusa Symetrii”,
 2004/2005,
 ołówek/liniał, cyrkiel; papier; 30x42 cm

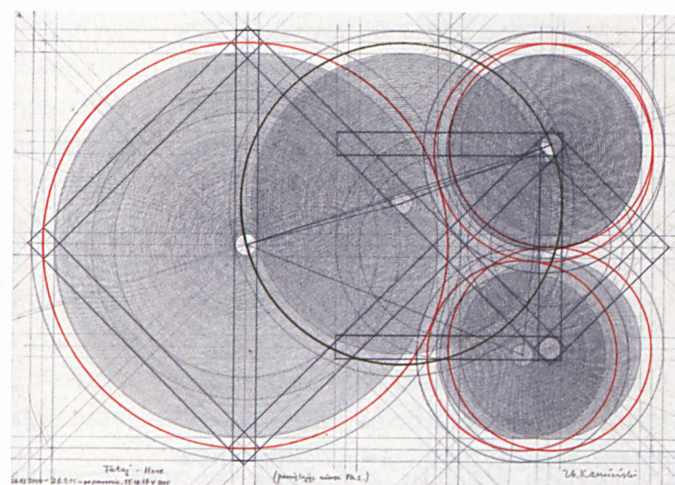
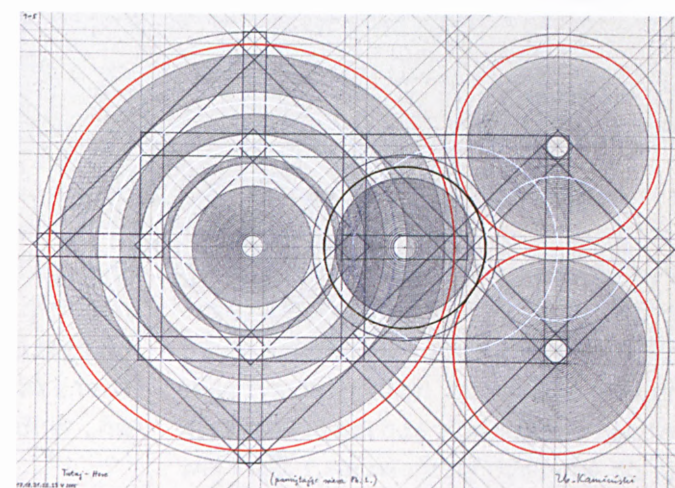
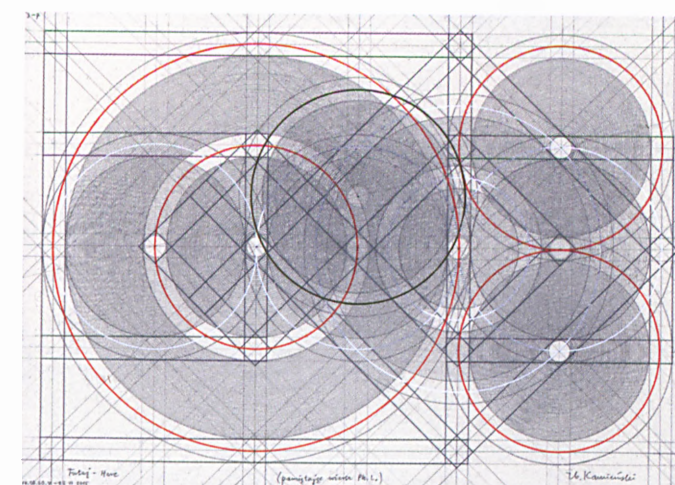
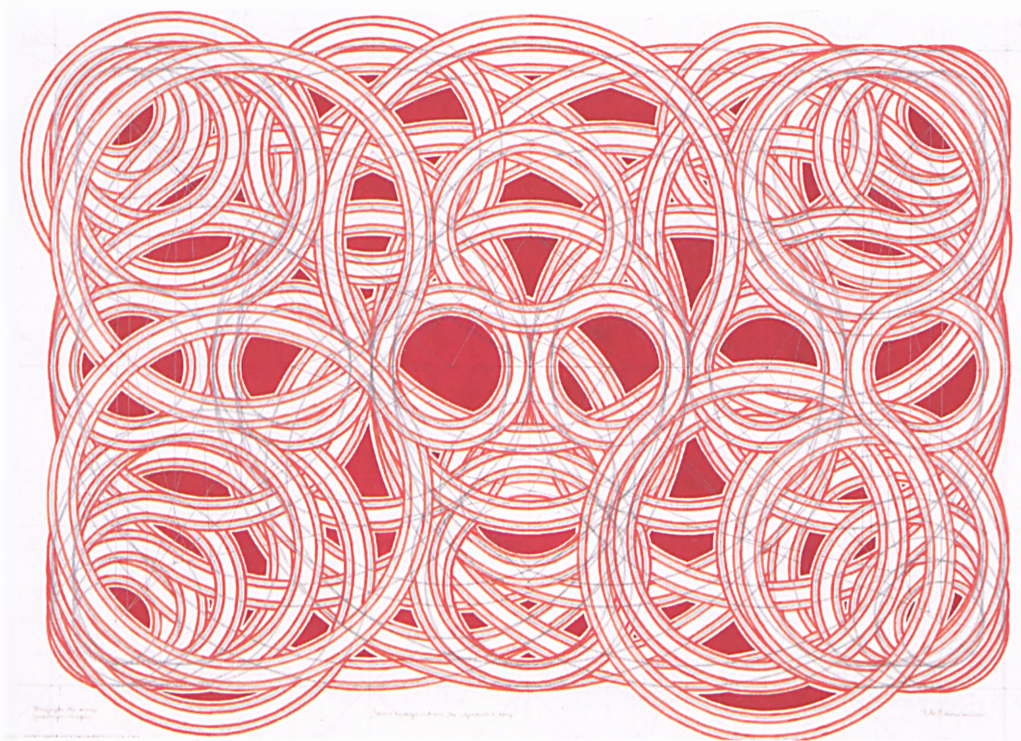
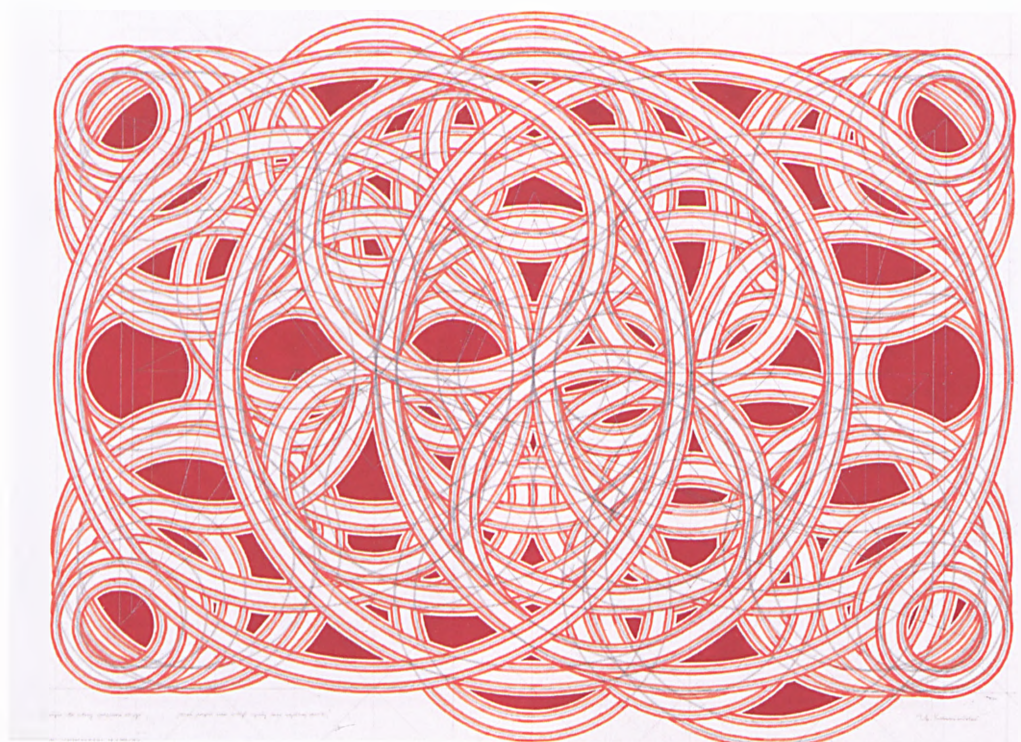


3 rysunki z cyklu „Powroty do Pomposy”, 2010/2011, ołówek/liniał, cyrkiel; tempera/pędzel; papier; 69x69 cm

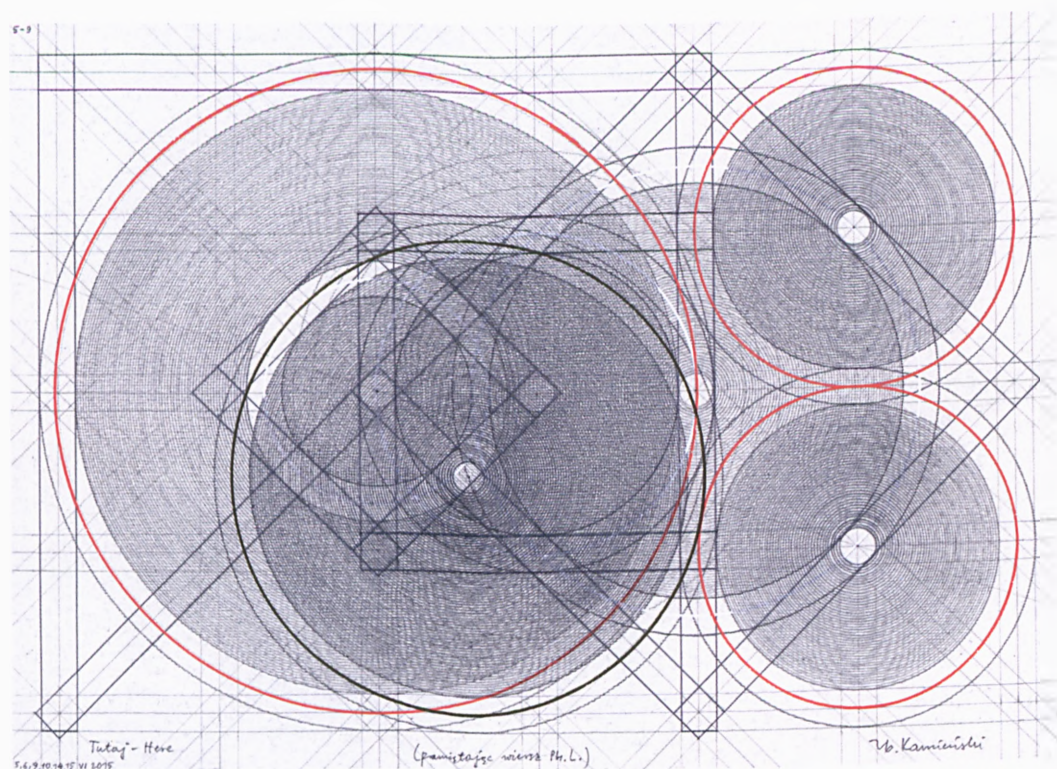


3 rysunki z cyklu „Returns to Pomposa”, 2010, ołówek/liniał, cyrkiel; tempera/pędzel; papier; 29,7x21 cm





Na poprzednich stronach:
4 rysunki z cyklu
„Potrójnych STO + X sprzężonych okręgów”,
2012/2013,
ołówki/liniał, cyrkiel; tempera/pędzel; papier;
69x99 cm



4 rysunki z cyklu „Tutaj – Here”, 2015, ołówek/liniarkę, cyrkiel; tempera/cyrkiel; papier; 21x29,7 cm



TO JEST MOJA PASJA...

Z Grzegorzem Bartosem
rozmawia Ilona Michalska-Masiarz

Ten rok jest dla Ciebie wyjątkowy, obchodzisz bowiem okrągłą rocznicę debiutu. To już 20 lat od opublikowania Twojego opowiadania „Sen Tomasa Okrutny” w „Brulionie”. Jak do tego doszło? Jak to się stało, że chłopak z technikum mechanicznego poszedł w „humanistykę”...

Właściwie można by postawić pytanie, jak to się stało, że chłopak, który od zawsze chciał pisać, syn historyka i matematyka, poszedł do technikum mechanicznego? Możliwe, że życie jest sumą złych wyborów, ale możliwe też, że idąc ścieżką „humanistyczną”, pisałbym teraz znacznie gorzej lub nie pisał w ogóle. Lub – co gorsza – wierzył w swoją wielkość i stawał się obok tytanów. Wydawał dzienniki, ha, ha. Tymczasem mam znacznie więcej pokory i wciąż czuję się niezręcznie, kiedy ktoś zbyt pompatycznie nazywa mnie pisarzem.

A wracając do technikum mechanicznego, to byłem w nim w czasie, kiedy całe miasto w moim pokoleniu było heavy metal i czasem myślę, że chciałbym o tym napisać. Bo to faktycznie ciekawe, że w tym wszystkim, mieszkając w internacie na Plantach ze złodziejem z Pasztovej Woli, tworzyłem na maszynie do pisania krótkie opowiadania i rozdawałem je znajomym, a jedno odważyłem się wysłać do najważniejszego pisma literackiego mojego pokolenia, czyli „Brulionu”. I do tego Tekieli uznał je za wystarczająco dobre, aby je opublikować!

Nie tak dawno pewna moja znajoma z tamtych punkowych czasów zauważyła, że właściwie robię w życiu to, o czym zawsze marzyłem i że to się rzadko zdarza.

Dlaczego piszesz? Dlaczego jest to dla Ciebie tak ważne, że od lat walczysz o wydanie kolejnych książek, szukasz uparcie

wydawców, starasz się pogodzić pisanie z życiem rodzinnym i zawodowym, bo z wydawania książek rzadko komu udaje się wyżyć...

Jedną z zasad, których się trzymam, jest, że na książkach mam zarabiać i w momencie, w którym zacznę do nich dokładać, dam sobie spokój. I to mi się udaje. Nieznacznie, ale jednak.

A dlaczego piszę? Czy nie zbyt często zbywam to pytanie, mówiąc, że to nałóg? Rodzaj ucieczki? Zupełnie szczerze mogę powiedzieć, że nie wyobrażam sobie życia bez pasji. To jest moja pasja. Powiedziałbym, że jedyna w swoim rodzaju, bo towarzyszą jej niezwykle ciekawe emocje.

Moje książki są świadkiem mojej drogi przez życie. Mimo że pisałem o różnych rzeczach, zawsze dostrzegam w nich siebie, a czasem wręcz jestem zdumiony, jak to możliwe, że coś takiego napisałem. Dlaczego to zrobiłem? Ile mnie to kosztowało? Jakim byłem wtedy człowiekiem? Taka możliwość patrzenia na własne życie przez pryzmat swojej literatury to jedno z najcenniejszych uczuć związanych z pisaniem, z publikowaniem, poza samą dość próżną radością, którą czujesz, kiedy dostajesz do ręki świeżą książkę. To rodzaj pamiętnika. Przepraszam za patos, ale to wartość w życiu, nieporównywalna z niczym innym. To nie sportowy samochód, rekord na ściance czy nowa kochanka. To znacznie więcej.

Wydałeś do tej pory siedem książek: *Czapki z głów, Anarchistów, Rozdział zamknięty, Opowieść o dwóch meczach i morderstwie, Nigdzie teraz, teraz tutaj, dramat Nadzy i martwi oraz nową powieść Cukiereczek, na razie w wersji*

elektronicznej. Ich tematyka jest bardzo różnorodna... Trudno byłoby znaleźć do nich jeden klucz. Np. *Anarchiści to opowieść starego punkowca, człowieka przegranego, który w więziennej celi wspomina i podsumowuje swoje życie, Rozdział zamknięty sięga do tematyki kina jidysz, Opowieść o dwóch meczach i morderstwie to Twój trybut dla Radomia, miasta, w którym się nie urodziłeś, ale z którym związałeś swoje losy, powieść najbardziej radomska, sięgająca do historii tego miasta z okresu dwudziestolecia międzywojennego, Cukiereczek to klasyczny kryminał, również z Radomiem w tle. Dlaczego? Skąd czerpiesz pomysły? Nie zamknąłeś się w jednej tematyce...*

To również jedno z założeń mojej literatury. Może gdybym osiągnął oczywisty sukces którąś z tych powieści, to powielalbym formułę. Ale że pisanie jest moją przygodą, chcę, aby każdy z moich tekstów był inny. Żeby dotyczył czego innego. I żebym na każdy z nich mógł po pewnym czasie spoglądać bez wstydu.

Lubię różnorodność. Dla mnie, jako dość wyrobionego czytelnika, powielanie się wielu z pisarzy, których bardzo cenię, to jednak pułapka. Nie mam natury fana. Oczekuję kreatywności, nie jestem przesadnie sentymentalny. Rozumiem, że ludzie czekają na kolejną książkę Stasiuka czy Pilcha, rozumiem, że młody pisarz po sukcesie debiutu chce napisać identyczną kontynuację, ale dla mnie to strata czasu.

Wiąże się to oczywiście przede wszystkim z tym, że nie piszę na niczyje zlecenie, a jedynie z własnej potrzeby, manii, czy jak to tam zwać. To ja wybieram i robię to, co chcę. Czy to jest stworzenie sztu-

ki teatralnej na bazie radomskiej poezji, czy napisanie tekstów na nową płytę grindcore'owego zespołu Squash Bowels (żeby było śmieszniej, w ogóle nie słucham tego rodzaju muzyki!). Staram się grać główną rolę w swoim życiu i niewiele mnie obchodzi rady w stylu: „A nie myślałeś, żeby napisać bestseller?”. Nie, ha, ha, nie myślałem!

A skąd się brały i biorą te właśnie tematy? Z fascynacji, z naturalnej dramaturgii, z doświadczenia, czasem z drobnej miłości, urzeczenia, namiętności. Kluczem jestem ja sam. Moja intymność. I moja skłonność do blagi. Nie sądzę, żebym się w tym różnił od większości pisarzy.

A „romans” z teatrem i pisaniem scenariuszy? To trwały związek czy właśnie romans, nietrwała, przelotna przygoda? Opowiedz o tym...

Scenariopisarstwo mógłbym określić zdecydowanie jako przelotny romans, zresztą na samym początku mojej drogi literackiej, ale był to na swój sposób bardzo udany romans. Wiele mnie nauczył. Przede wszystkim wizualnego podejścia do budowania sceny, jak też samych podstaw opowiadania. Tego, że tekst powinien mieć swoją dramaturgię, co w polskiej literaturze nie jest wcale oczywiste. I że powinien być o czymś. Nie jestem filologiem, dlatego zabawa słowem, jakies „owady pracowały w pocie czułek”, kunszt językowy obchodzi mnie mniej niż sama opowieść. Oczywiście, jest ważny, ale nie najważniejszy. Co zresztą przekłada się też na moje własne pisanie.

Z kolei dramaty dla mnie były bardziej wprawkami, ćwiczeniem stylistycznym, ale koniec końców przyniosły mi sporo frajdy oraz drobne sukcesy. Staram się pi-

sać dobre dialogi i na pewno doświadczenie dramatopisarskie jest tu nieocenione.

A co najważniejsze, dzięki konkursom scenariopisarskim i dramatopisarskim poznałem bardzo ciekawych ludzi. Zacząłem też być bardzo wcześnie oceniany i wyróżniany przez ludzi, którzy podchodzą do tematu w otwarty sposób. Bez założenia pozytywnego czy negatywnego.

Radomscy koledzy po piórze swoje książki ledwie „przeglądają” nawzajem, stąd łatwiej im powiedzieć, że jednym z najważniejszych radomskich prozaików jest człowiek (skądinąd świetny facet), który jak dotąd jeszcze niczego nie wydał. Ale prawdziwą wartość buduje, kiedy ludzie z branży, dla których generalnie jesteś nikim, mówią ci: „To jest naprawdę dobre”. To schlebające, kiedy Jerzy Stuhr w foyer Teatru Małego w Gdyni podczas Festiwalu Raport mówi: „Panie Grzegorz, jest pan tutaj dzięki mnie”.

Kilka lat temu spotkałem na Żeromskiego jednego z organizatorów Kameralnego Lata, który przed 10 laty był jurorem w konkursie, w którym nagrodzono mój scenariusz o radomskich blokiersach – „Dzielnica Trzech Krzyży”. I on stwierdził: „Wiesz, ja dopiero teraz, kiedy przyjechałem do Radomia i pochodziłem po mieście, zrozumiałem, o co ci chodziło!”.

Ale – co równie ważne – to, że brałem udział w konkursach, nauczyło mnie dyscypliny w podejściu do pisania. Deadline to ważna sprawa. Nie najważniejsza, ale dyscyplinująca. A bycie dobrym w literaturze wymaga wiele dyscypliny, wiele pracy.

Przygodą życia jest chyba dla Ciebie przetłumaczenie na język holenderski i wystawienie w Hadze Twojego dramatu...

Tak, to było dość niesamowite. Tak się jak dotąd złożyło, że najkrótszy mój tekst osiągnął największy sukces. Był w finale konkursu teatralnego w Gdyni, miał premierę jako słuchowisko w Trójce, aż wylądował na deskach Teatru Dakota w Hadze. Nie tylko został dobrze przyjęty, ale wywołał burzliwą dyskusję na temat holenderskiej Polonii.

To jest ciekawy przykład, jak w sumie złe doświadczenie można przekuć w pozytywny. Bo nie jest łatwo zostawić rodzinę i jechać do pracy za granicę. To straszna sytuacja, ale niestety w naszym kraju niemal codzienna. Mnie akurat przypadło znaleźć się w Dordrecht w Holandii. Wiodło mi się raz lepiej, raz gorzej, pieniądze zarabiałem oczywiście inne niż tutaj, ale zdecydowałem się szybko wracać. I w krótkim czasie po powrocie na podstawie własnych doświadczeń i obserwacji napisałem *Nagich i martwych* (tytuł to literacki żart). Ze sztuką stało się to, o czym już wspominałem, a doskonale podsumowała to moja przyjaciółka Iza, kiedy oglądałem pierwsze czytanie sztuki w holenderski Dzień Zwycięstwa w Theatre aan het Spui w Hadze, mówiąc: „Grzegorz, you beat the Dordrecht!” (pokonałeś Dordrecht).

Prowincja – temat, którego w „Miesięczniku Prowincjonalnym” i moich rozmowach z radomskimi pisarzami nie może zabraknąć. Czym dla Ciebie jest prowincja? Czy ogranicza pisarza, pomaga, czy nie przeszkadza?

Nie jestem wielkim myślicielem, a może to jest zaleta momentu, w którym teraz jestem w życiu, ale całe to zagadnienie prowincjonalności zupełnie mnie nie obchodzi!

Pamiętam, że kiedy byłem dzieciakiem, a wychowywałem się w Pakoślawiu, nie mogłem zrozumieć, dlaczego moi rówieśnicy z Iłży mieli się za lepszych ode mnie, z kolei za lepszych od nich uważali się im podobni ze Skaryszewa, a od tych jeszcze lepsze mniemanie mieli o sobie radomiacy. To było durne i na swój sposób obrzydliwe. A teraz, pracując na co dzień w Warszawie, widzę, że tak samo mają warszawiacy na przykład w stosunku do radomiaków, ha, ha. A raczej ci, co się mają za warszawiaków... Jakieś zagłębienie ludzkich kompleksów.

Ale w sensie artystycznym ubolewać nad prowincjonalnością to na przykład negować Schulza. Nie widzę w tym sensu. Oczywiście, horyzonty i możliwości są różne, ale nie poziom artystyczny.

Robię legendę z radomskich Plant. Dlaczego nie, jeśli potrafię z niej wyciągnąć esencję i jakąś literacką wartość? To oczywiście żart i jeśli życie mnie zmusi, zostawię je za sobą bez wahania. Ale nie ciągnie mnie do metropolii. Zupełnie nie. Lubię zadupia. Czy to prowincjonalne?

Jeden z ciekawszych komplementów usłyszałem od dziewczyny z Hajnówki, która przeczytała *Opowieść o dwóch meczach...*, po czym przyznała się, że przez następne pół dnia w Google Earth spacerowała po Radomiu, który tam opisuję.

Prowincja pomaga, jeśli potrafisz ją zamienić w sztukę. Jak boli czasem, kiedy oglądając film czy czytając książkę, dotkliwie poznaje się nie prawdę, ale to, jak wątpliwy umysł jakiegoś etatowego pisarza czy scenarzysty wyobraża sobie życie. A już kiedy tykają prowincji, to wychodzi tylko „Ranczo”. Bzdura, banał, parodia. Nie moż-

na mylić prostoty z prostactwem, szczerości z chamstwem, prowincjonalności z umysłową prowincją, uprawiania zawodu z prawdziwym talentem.

Radom broni się przed tym na swój sposób. Nie tak dawno poznałem dziewczynę, która przez kilka lat pracowała w „Fakcie” i w pewnym momencie zauważyła: „Poznałam w życiu osobiście trzech pisarzy i wszyscy trzej byli z Radomia!”.

Bardziej od tematu prowincjonalności zajmuje mnie właśnie walka z wizerunkiem Radomia w świadomości ogólnospołecznej. Z drugiej strony Radom istnieje w tej świadomości, a kogo obchodzi jakiś Chełm, Pułtusk czy Inowrocław? Myślę, że jest szansa, aby w pewnym momencie to miejsce o nieszczęsnej opinii czarnej dziury, umarłego miasta wygrało tę batalię. Zasluguje na to. Choć nie jest łatwo, bo patriotyzm niekoniecznie chroni przed autodestrukcją.

Czy chciałbyś jakoś podsumować te 20 lat?

Grzegorz Bartos – prozaik i dramaturg. Urodził się w Pakoślawiu, gm. Iłża, z wyboru mieszka w Radomiu. Autor powieści *Czapki z głów*, *Anarchiści*, *Rozdział zamknięty*, *Opowieść o dwóch meczach i morderstwie*, *Nigdzie teraz, teraz tutaj*, sztuk teatralnych *Wszyscy jesteśmy grubasami*, *Hazardziści* oraz *Nadzy i martwi*, zrealizowanej jako słuchowisko przez Teatr Polskiego Radia i wystawianej w teatrach w Hadze. Wkrótce w wersji drukowanej ukaze się jego najnowsza powieść *Cukierczek*.

Skończyłem właśnie 40 lat, jestem 20 lat po debiucie, więc siłą rzeczy pewnie przyszła pora na małe podsumowanie. Ale nie czuję potrzeby benefisów.

Nie wiem, jak to wszystko sobie wyobrażałem 20 lat temu. Prawdopodobnie sądziłem, że mając czterdziestkę, będę znacznie bardziej samotny i szalony, ha, ha!... Ale kto wie, jak postrzegają mnie ludzie, z którymi spędzam mnóstwo czasu w pociągach?

Wydaje mi się, że najważniejszym moim tekstem jest *Opowieść o dwóch meczach i morderstwie*, ale być może następny będzie lepszy? Jeszcze wolę planować niż podsumowywać. Lada dzień ukaże się papierowa wersja *Cukierczka*, lato mam poświęcić na kolejny projekt literacki. Czuję, że nadal jest tak wiele do zrobienia, choć czasem po prostu frajdą jest puścić dzień, zmarnować go bez konieczności rozliczania. Mam wspañałą rodzinę i szkoda byłoby tracić czas na rozpamiętywanie, czy coś mogło pójść inaczej, niż poszło.

Michał Sobol – urodzony w 1970 w Cerekwi koło Radomia, absolwent Technikum Leśnego w Zagnańsku, ukończył historię Kościoła i filozofię w Krakowie. Mieszka w Zabierzowie Bocheńskim na obrzeżach Puszczy Niepołomickiej. Wydał zbiory wierszy: *Lamentacje* (2001), *Działania i chwile* (2007), *Naturalia* (2010), *Pulsary* (2013). Publikował też w „NaGłosie”, „Twórczości”, „Kresach”, „Lampie”, „Więzi”, „Wyspie”, „Ricie Baum”.

Laureat Nagrody im. Kazimierza Iłłakowiczówny za najlepszą debiutancką książkę roku 2001 za *Lamentacje*. Za tom *Pulsary* otrzymał Nagrodę Literacką Miasta Radomia 2013 w kategorii książka literacka oraz był nominowany do Nagrody Poetyckiej im. Wisławy Szymborskiej 2014 oraz Nagrody Literackiej Gdynia 2014.

Jego wiersze publikowaliśmy w „Miesięczniku Prowincjonalnym” nr 6 (141), listopad–grudzień 2013 i nr 5 (146) wrzesień–październik 2014.

Pomnik przyrody nieożywionej

Do życia potrzebne jest tak niewiele, trochę białka. Z mąki i drożdży ulepione kule, zostawione w ciepłe do wyrośnięcia, nie wszystkich na to stać, to pewne. Według ostatnich obliczeń dziesięć miliardów planet takich jak Ziemia tylko w naszej galaktyce, które obchodzą nas mniej niż skamieniały odcisk prehistorycznej bestii w wypiętrzonych osadach czerwonego piaskowca. Bo wciąż łatwiej uwierzyć, że idąc tym niewysokim garbem wzgórza, spoglądając na wyludnione wioski i sine smugi dymu nad polami, gdzie właśnie trwa nagonka na lisy ukryte w stogach jak piramidy, zwiedzasz dno oceanu, choć wody pozwalające kiełkować tu czemuś większemu niż mszaki dawno odeszły, ich ostatnie strugi w dole, przebłycki metalu, na chwilę przed pierwszym strzałem, gdy ponad tym wszystkim w planetarnej ciszy gęstnieją gazowe obłoki. Ale co właściwie miałoby to znaczyć, że krucha zasada, która od zawsze domagała się ocalenia, jest nie do zabicia, że ochrony wymaga otoczony płotkiem kamień i zarastająca chwastem pustynia bardziej niż lisy. Nie z zadziwienia pytam, tylko z niepewności.

Przed i po

Ale dla nas tym wielkim przed i po
było przed i po melioracji

gonitwy boso z wędką po zroszonej
łące albo suchy wykrot

lodowisko aż po las w białym szronie
lub zastygły ołów obumarłych drzew

a wielka wojna miała dla nas urok
tusek znajdujących w strumyku

po trzydziestu latach i zapachu prochu
którym wypalaliśmy nasze inicjały

i tajemne znaki o skrytej miłości
na ławce przystanku

dopiero później powiedziano nam
że nasze przed i po już

nie obowiązuje kazano siedzieć
cicho i oglądać zdjęcia

na których grupa przezabawnych cieni
kopie grób dla siebie

albo słuchać wieści o cudownym
poczęciu bardzo dawno temu - słowem

daliśmy wiarę nieodpartym faktom
a demon pustki śmiał się z nas

Amator

Ścinałem główny pień od góry
przed wypuszczeniem pąków w marcu

opity był wodą i ciężki jak człowiek
kiedy spadł plastyczna ziemia jęknęła

później boczne konary znad dachu
po kawałku ostrożnie obejmując je

jak siwe głowy i przerywając
z chrzęstem centralne włókna

pamiętając jak czynią to zawodowcy
bez zadyszki powoli prawie czule

Angielska flaga

Tam gdzie powiewa ta angielska
flaga powiedziałem weź mnie
weź mnie z sobą moje drżące
ręce pijaka łąpią spaw lepiej

niż spokojne ręce będziemy
razem spajać te nośne konstrukcje
pod szarym niebem tam gdzie
powiewa ta angielska flaga choć

na razie to tylko gadżet nad twoim
domkiem złomiarza wyginacza rur

Sen o szpadzie?

Robert Utkowski

Siedzę na spotkaniu z siedemdziesięcioletnim facetem. Opowiada nam, studentom studiów trzeciego stopnia, grupce ledwie kilku osób, swoją wizję życia. Swoją prawdę. Życie raczej ciekawe i raczej udane. Tak w 80 procentach, czyli sporo. Wykładał w kilku szkołach filmowych i artystycznych. Nakręcił kilka filmów. Ponad 100 dokumentów, kilka fabu. Napisał kilkadziesiąt scenariuszy. Mówcą jest świetnym, ma łatwość słowa. Kilkanaście wypracowanych schematów to doświadczenia z pracy ze studentami. Kilka bon motów, kilka interesujących konstatacji. Czasem kontrowersyjny sąd, gdzieniegdzie żart. Godzina mija szybko, przelatuje niezauważenie, ale tego czasu nie szkoda.

Pod koniec zdradza, co go boli. Jest z tej ziemi, wiele filmów poświęcił tej ziemi, ludziom z tej ziemi, sprawom tej ziemi. Czuje się związany z tym miastem, ale to miasto nie czuje się związane z nim. Gdyby nie ona (ruchem głowy wskazuje profesorkę, która go zaprosiła), pewnie by tu nie przyjechał. Bo to ona kilka lat temu zrobiła mu w tym mieście jubileusz. Przypomniała go miastu. Uhonorowała. Pamiętała. Bo miasto nie, miasto nie pamięta. Miasto pewnie ma ważniejsze rzeczy na głowie niż pamięć o starym reżyserze, zresztą nie z tej najwyższej półki. Ale solidnym, trochę znany, trochę cenionym. Mającym co nieco do opowiedzenia.

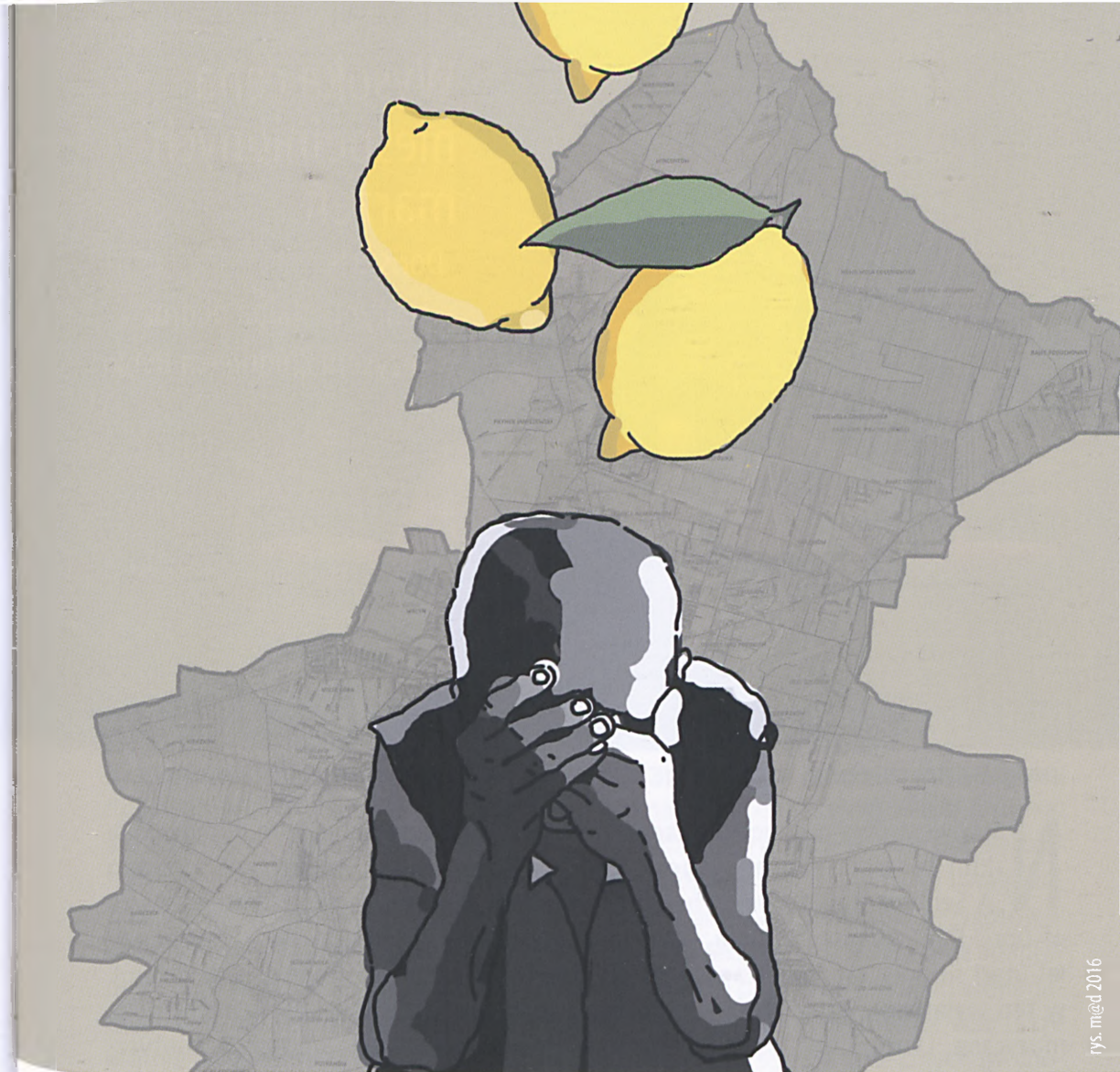
To inne miasto, to inna ziemia. Wycho-
dzę z tego spotkania z lekką zazdrością, że

ta inna ziemia ma się czym (kim) pochwalić. Chwilę potem zdaję sobie sprawę, że i my mamy się czym (kim) pochwalić. Tylko nie widzimy tego, z bliska rzeczy widać gorzej. Im człowiek starszy, tym z bliska widzi słabiej, zapytajcie okulistów. Zatem tu, w tym mieście i na tej ziemi jakoś tak bywa podobnie. Miasto nie pamięta. Pamięć miasta, zapisana w murach, nawach ulic, tabliczkach, wrysowana w binarny kod pulsujących nocami pomarańczowych świateł na pustych skrzyżowaniach, wypełniona jest czym innym. Ważniejszymi sprawami, rzeczami, ważniejszymi ludźmi. Bo, tak sobie myślę, są takie miasta, które tak bardzo próbują wyrwać się ze swojej powiatowości, że coraz bardziej w niej grzęzną. Jak Bear Grylls próbujący wyrwać się z ruchomych piasków nad Kolorado. Każdy ruch powoduje większe zapadanie się; im bardziej się szarpiesz, tym bardziej grzęzniesz. Trzeba uspokoić się, odsapnąć, przestać wierzczać. Spokojnie pokłonić głowę przed losem, dosłownie, położyć na tym błocie, utarzać, rozłożyć ręce szeroko, uwolnić jedną nogę, potem drugą, potem czołgać, czołgać, aż wyjdiesz.

Bear Grylls ma doświadczenie i kilkuosobową ekipę w pobliżu. Nic mu się nie stanie. Żadne zwierzęta nie ucierpiały w czasie kręcenia tego odcinka.

My nie mamy tego doświadczenia.

W którym jesteśmy miejscu z naszymi marzeniami o mocarstwowości, wielkości i potędze? Jeszcze nie dojrzeliliśmy do



rys. m@d 2016

tego, żeby się uspokoić i łagodnie wyciągnąć nogi z błota. Szarpniemy się. Szarpniemy i dlatego coraz głębiej zapadamy. Random to stan umysłu, żartuje Sieć. Daliśmy się złapać w tę Sieć. Jak śliwka w kompot. W trzy cytryny, lotnisko, w dwa stadiony, każdy na miarę drużyny przynajmniej z I ligi, w dziwne coś w parku, w jakieś nieokreślone wizje tramwaju. A przecież to na wskroś nowoczesne, zdekonstruowane Derridiańskie miasto, z rozbitym centrum, ze słowem, które często rozmija się z rze-

czywistością, z zachwianą wiarą w swoją obecność daje możliwość nieskończonej liczby interpretacji. I jest całkiem płodne, jeśli dobrze się rozejrzeć. Bo od tego rozejrzenia się można byłoby zacząć. Od docenienia ludzi, którzy są stąd. Zanim, pokazując głową na tę czy inną postać, nie powiedzą: „Tylko dla niej tu przyjechałem. Nic innego mnie tu nie trzyma”.

Robert Utkowski

Wysoka cena niespełnionych marzeń

„Doris Day
– sentymentalna podróż”
w reżyserii Zbigniewa Rybki

Krystyna Kasińska



Justyna Schneider (Doris Day) z synem Terryem (Ł. Stawowczyk) w chwilę po wygranym procesie o odszkodowanie

Na sylwestrową premierę w radomskim teatrze wybrano spektakl „A Sentimental Journey. The Story of Doris Day” Adama Rolstona. Od kilku lat utarł się zwyczaj zapraszania widzów w ten wyjątkowy wieczór na spektakle muzyczne. Liczono być może, że wspomnienie o Doris Day, gwiazdzie amerykańskiej estrady i filmu z lat 40–60. ubiegłego wieku wywoła wzruszenie. Tylko kto dziś pamięta tę aktorkę? Kto pamięta, jak wiele znanych przebojów wylansowała?

Jeden z widzów zauważył (moim zdaniem słusznie), że historia opowiedziana w scenariuszu została spłaszczona. W internecie wyczytałam, że amerykańscy recenzenci ów zlepek historyjek scenicznych krytykowali najmocniej.

W jednym z wywiadów Doris Day stwierdziła, że nie marzyła o wielkiej karierze, chciała jedynie stworzyć szczęśliwą ro-

dzinę i być prawdziwą kurą domową. Za uparte dążenie do takiego celu przyszło jej zapłacić wysoką cenę. Dlatego warto przypomnieć, kim była Mary Ann Kappelhoff (Doris Day to estradowy pseudonim).

Przyszła na świat w rodzinie niemieckich emigrantów. Ojciec opuścił despotyczną małżonkę, a ona przeniosła wszystkie uczucia na córkę, której szczęścia upatrywała w karierze artystycznej. Najpierw tanecznej, ale uniemożliwił ją wypadek samochodowy. Wówczas matka zauważyła, że córka ma dobry głos, który wystarczy lekko podszkolić. 14-letnia panienka zaczęła więc śpiewać. Kariera wokalna potoczyła się błyskawicznie. W 1945 r. na listy przebojów trafiła piosenka „Sentimental Journey”, a dwa lata później, po podpisaniu kontraktu z Columbia Record, przebój zaczął gonić przebój. Jasnowłosa dziewczyna z czarującym uśmiechem sta-

ła się ulubienicą i miłośników radia, i zwolenników filmu. Doris Day szybko trafiła na ekrany. Powierzano jej role uroczych dam, najczęściej w komediach muzycznych, a po podpisaniu kontraktu z wytwórnią Warner Bros zaczęła grywać w ambitniejszych produkcjach u boku największych gwiazd, takich jak Frank Sinatra, Clark Gable, Rock Hudson, David Niven. Piosenki w jej wykonaniu kilka razy nominowano do Oscarów (np. „Que sera, sera” z filmu A. Hitchcocka) i Złotych Globów. Aktorka otrzymała również nominację do Oscara za pierwszoplanową rolę kobiecą w „Telefonie towarzyskim”. Pod koniec lat 60. kariera Doris Day zaczęła przygasać (zakończyła się ostatecznie w roku 1973), bo aktorka nie chciała zmieniać swego scenicznego wizerunku. Odrzuciła nawet rolę pani Robinson w „Absolwencie”, uznając film za niemoralny. Teraz ponad 80-letnia Doris Day zajmuje się obroną praw zwierząt.

Dziś aktorka stałaby się pewnie „pupilką” tabloidów. Radosna na ekranie, mocno poturbowana przez życie byłaby łakomym kąskiem dla dziennikarzy. Czterokrotnie wychodziła za mąż, za każdym razem był to niefortunny wybór. Pierwszy ślub wzięła w wieku 17 lat. Związek trwał krótko (mąż okazał się osobą nie równoważoną psychicznie), ale na świat przyszedł jednak Terry. Kolejne małżeństwo skończyło się po ośmiu miesiącach. Trzecie trwało lat kilkanaście, lecz po śmierci męża i menedżera okazało się, że nie tylko roztrwonil on majątek żony, ale zostawił również milionowe długi (proces o odszkodowanie ciągnął się 20 lat). Czwarty krótki związek też zakończył się fiaskiem. Doris Day odbiła się jednak od dna dzięki

popularności, jaką cieszył się telewizyjny program „The Doris Day Show”. Pech za to dopadł jej syna. Terry stał się liczącym producentem muzycznym. Niestety, niefortunnie odmówił współpracy z początkującym piosenkarzem... Charlesem Mansonem. Ten w odwecie wpadł do domu, w którym miał mieszkać Terry, i wymorował wszystkich obecnych. Tyle że producent muzyczny wyprowadził się, a dom wynajął Romanowi Polańskiemu i jego ciężarnej żonie. Okrutna zbrodnia wstrząsnęła Ameryką, a kariera Terry’ego nagle się załamała (syn Doris Day zmarł w 2004 r.).

Radomskie przedstawienie, zgodnie ze scenariuszem sztuki Rolstona, obejmuje okres od dzieciństwa Doris Day do wygrania procesu o odszkodowanie. Ten spektakl z piosenkami (musicale mają większy rozmach inscenizacyjny) niesie muzyka. Prawdziwa orkiestra zawsze dodaje blasku podobnym projektom. Na uwagę zasługują aranżacje utworów przygotowane przez Jerzego Kluzowicza oraz adaptacja tekstów piosenek i przekład scenariusza Michała Wojnarowskiego. Jest także kilka ładnych scenek tanecznych (w choreografii Tomasza Tworkowskiego), „podbijanych” grą światła (za co odpowiada Olaf Tryzna), choć z ruchem scenicznym lepiej radzą sobie panowie. Podobały mi się bardzo partie wokalne. Wykonawcy (w tym aktorzy) mają dobre głosy i są ze sobą „ześpiewani” (to najpewniej zasługa korepetytorów – Moniki Świostek i Rafała Hołuba).

Miałam okazję wysłuchać obu pań grających główną rolę (Justyna Schneider, Magdalena Placek). Moim zdaniem lepiej radzi sobie na scenie Justyna Schneider. Do obu

mam to samo zastrzeżenie – bez mikrofonów są niesłyszalne ani w trzecim, ani w szóstym, ani w trzynastym rzędzie (z tymi widzami rozmawiałam). Strach pomyśleć, ile tekstu dociera do widzów w ostatnich rzędach...

Akcja spektaklu toczy się leniwie, niektóre scenki ciut się dłużą, a gra aktorska to najczęściej przemieszcza-

nie się aktorów z jednej kulisy w drugą. Tym bardziej cieszy kilka przemyślanych epizodów. Jarosław Rabenda ciekawie poprowadził rolę milczącego i niemilego pana domu, a jako Al Levy, agent wschodzącej gwiazdki, jest po prostu świetny. Interesującą wymyślił postać innego agenta – Billa Burtona – Piotr Kondrat. Dobrze radzi sobie Łukasz Stawowczyk, któremu reżyser powierzył znaczącą rolę syna Doris, narratora opowieści. Aktor, mający dobrą dykcję, wyważa emocje, oszczędnie operując gestem i mimiką, choć relacjonuje różne sytuacje. Trochę mi przeszkadzał pomysł, że Terry-Stawowczyk w kilku momentach zmienia się z narratora w uczestnika akcji (jak cenzor z filmu „Ucieczka z kina Wolność”). Warto wymienić Iwonę Pieniążek, która wprawdzie jedynie przemyka przez scenę (ale jak!), ma jednak na sobie jedyną godną uwagi suknię. Gusta wprawdzie nie podlegają dyskusji, lecz mam (nie po raz pierwszy) zastrzeżenia do pomysłów Zofii de Ines. Za mało w tych strojach fantazji i barw, które przypominałyby lata 60. Czasem, jak w „Bogu mordu”, miałam wra-



Magdalena Placek (Doris Day). W tle J. Rabenda i M. Braun

fot. archiwum teatru

żenie, że niektóre suknie, miał podkreślać walory damskich sylwetek, skutecznie pokazując jedynie ich wady.

Jestem spokojna, że bez względu na to, co napiszę, spektakl zyska zwolenników, bo piękna muzyka zrobi swoje. Byłam w teatrze w niedzielny wieczór 3 stycznia. Widziałam żywą reakcję widowni, dla której Doris Day może być postacią mało znaną – większość piosenek i sekwencji tanecznych kwitowano brawami. I o to chodzi, aby spektakle muzyczne kołły nerwy, nadwężone trudami codziennego dnia, zapewniając chwilę relaksu oraz dobrą zabawę.

Krystyna Kasińska

Teatr Powszechny im. Jana Kochanowskiego w Radomiu. Adam Rolston „Doris Day – sentymentalna podróż”. Przekład i adaptacja tekstów piosenek: Michał Wojnarowski. Reżyseria: Zbigniew Rybka. Kierownictwo muzyczne: Jerzy Kluzowicz. Scenografia: Wojciech Stefaniak. Kostiumy: Zofia de Ines. Choreografia: Tomasz Tworowski. Reżyseria światła: Olaf Tryzna. Premiera: Duża Scena im. Z. Wojdana, 31.12.2015 r.

Carpe diem

Grzegorz Sasin



fot. internet

Kino to czuły instrument odbierający drgania czasu w danym miejscu, w danej rzeczywistości. Przeważnie służy za swoisty przekładnik porozumiewania się człowieka z człowiekiem, gdy opisuje nadzieje i strachy trapiące widza – stara się rozwiązać problem wzajemnej komunikacji. W różny sposób i z różnym skutkiem. A jak to się udaje filmowi „Zupełnie Nowy Testament” Jaco van Dormaela?

Bóg się nudzi i stwarza w Brukseli człowieka. To mu nie wystarcza, więc ustala prawa świata, m.in. człowiek jest śmiertelny, mimo to życie ma mu upływać w nadziei i nadziei, że a nuż coś się zmieni. Otóż nie! Jeśli Bóg nie lubi siebie, to tym bardziej nie lubi stworzonych na swój obraz i podobieństwo ludzi. Nęka ich, podobnie jak swoją rodzinę, tj. żonę i córkę, bo syn – J.C., jak o nim mówi, zbuntował się, gdyż uciekł, aby ratować znękaną ludźmi. Ale przecież istnieje konflikt pokoleń, to-

też córka Boga, Ea, podpuszczona przez J.C., włamuje się do komputera ojca, który jest takim ramieniem stworzenia (palec Boga na fresku Michała Anioła – inspiracja?), i wysyła w świat daty śmierci wszystkich ludzi. Świat staje na głowie, a Ea ucieka tunelem pralki w życie, by napisać całkiem nową ewangelię – z dodatkowymi apostołami: zabójca z zamiłowania, urzędnik jak z Kafki, erotoman, jednoręka piękność, chłopiec, który chce być dziewczynką, i zakochana w gorylu (a raczej w King Kongu) bardzo dojrzała kobieta. Ich przygody zapisuje bezdomny włóczęga, taki prostaczek boży. I tak powstaje Zupełnie Nowy Testament.

Nowi apostołowie są równie prości i zdumiewający jak znani nam dotychczas: są tak samo zróżnicowani, niby inni od reszty, a tacy sami, czyli stanowią taką mapę ludzkiego świata. Świata składającego się z wyalienowanych ludzi, wśród któ-

rych są też ci jeszcze bardziej wyobcowani, np. kalecy, karły, chorzy z zespołem Downa etc. Reżyser wskazuje na to w jednej scenie, gdy kamera pada na Pascala Duquenne, aktora z zespołem Downa – bohatera innego filmu van Dormaela „Ósmy dzień”, w którym Duquenne zagrał nadwrażliwego, odczuwającego spontanicznie świat chłopaka; podobny w tym do swego poprzednika Kaspara Hausera.

Kaspar Hauser to taka tajemnica XIX w. Pojawił się nagle na rynku małego miasta w Niemczech i zniknął zamordowany nie wiadomo przez kogo. Nie umiał mówić, wszystko go dziwiło: słońce, ludzie, zegary, muzyka... Był jakby dopiero co stworzony. O tym właśnie Werner Herzog zrobił film „Zagadka Kaspara Hausera” – to tytuł polski, cokolwiek debilny, bo oryginalny mówi wszystko: „Každy dla siebie, a Bóg przeciw wszystkim”. Jak w filmie van Dormaela. Wszak człowiek postawiony wobec rzeczywistości może tylko przegrać, może tylko żyć w rozpacz. A to za sprawą świadomości, czyli kultury, tej zwyczajnej, codziennej kultury, która pretenduje do roli Boga, gdyż wydaje się jej, że potrafi wszystko wytłumaczyć, np. kim był Kaspar Hauser, co podobno wykazała sekcja jego ciała, rozłożenie jego mózgu na czynniki proste. Bóg jest przeciw wszystkim, bo przeciwstawił człowieka naturze, pozbawił go wrażliwości, jakby „przenikliwości” w odbiorze zdarzeń. Ale nie wszystkich – stworzył też „innych”, takich jak Kaspar Hauser, takich jak Stroszek, jak Bruno S. Ten ostatni to naturszczyk Herzoga, który wystąpił jako Kaspar Hauser i tytułowa postać w „Stroszku”. Grał siebie, ograniczonego umysłowo życiowego rozbitka – złodzieja, włóczęgę, mieszkańca przytułków i wię-

zien, którego Herzog wyciągnął na światło dnia i rzekł: patrzcie, oto produkt kultury, społeczeństwa, które go zniszczyło, bo był inny... Więc Stroszek ucieka z przyjaciółmi do raju, czyli do Ameryki. Ale Ameryka nie jest już rajem, nie jest już Nową Ziemią. Wyjścia nie ma, chyba że samobójstwo, które jest ucieczką do... Boga? Boga, który jest przeciw wszystkim, bo go tutaj nie ma, nie ma go też w człowieku. Jest tylko przecuciem?

Kultura jest więc złem, natura jest dobra. Jak Kaspar, jak Stroszek, a skoro tak, to jest jedyną alternatywą. Herzog, niczym Bóg, rozstawia ludzi po kątach: macie być słodkimi debilami, a przynajmniej dobrymi dzikusami. Nie tylko jak Bruno S., ale i np. Chance (Szczęście!), bohater filmu „Wystarczy być” Hala Ashby’ego według opowiadania Jerzego Kosińskiego. Chance chodzi po wodzie i doradza prezydentowi Stanów Zjednoczonych. Bóg u van Dormaela po wodzie nie chodzi, tonie. Po wodzie chodzi Ea, bo to ona wiedzie ludzi w nową erę: „życie, bo macie tylko życie, nieba nie ma”. Możecie więc wybrać jego kształt. Ale belgijski reżyser nie proponuje, abyśmy się stali niewinni, jako to inni fizycznie, psychicznie, intelektualnie, lecz żebyśmy stali się inni za sprawą otwarcia się na tego innego, bo przecież tolerancja polega na zrozumieniu innego punktu widzenia, innej wizji świata. Na takiej codziennej demokracji, która wcale nie polega na dyktaturze większości, lecz na kompromisie, na tolerancji wobec różnych tzw. mniejszości, co mocno podkreślał Tomasz Jefferson. Stąd może filmowi van Dormaela najbliżej do filmów Toda Browninga, dawnego hollywoodzkiego mistrza kina grozy, kina melodramatycznego, a przecież egzystencjalistycznego. Browning jakby ekranizował

tezę Jeffersona, bo w jego filmach mamy po prostu afirmację życia, miłość do życia, czyli do ludzi, także do tych dziwnych, jak kobieta z brodą, człowiek-młot, siostry syjamskie, kobieta-kura, karły, liliputy. To bohaterowie jego filmów, zwłaszcza „Dziwolągów”. Film ten wywołał w latach 30. ubiegłego wieku szok, gdyż pozytywnymi bohaterami były właśnie dziwolągi. Natomiast zło wcieliło się w cyrkową piękność Kleopatę i jej kochanka Herkulesa. Teraz to się podobno zmieniło, ale i tak mało kto zaakceptowałby fakt, że Browninga gabinet osobliwości, zagrożony w swej godności, pokonuje zło, wysyłając Herkulesa na tamten świat, a Kleopatę do gabinetu monstrów, po przekształceniu jej w kobietę-kurę.

Browning pokazuje, że pozory mylą. Że intelekt, osobowość niewiele wspólnego mają z fizycznością. Że zawsze zwycięża to, co jest istotą życia: wyobraźnia, inteligencja i, niestety, perfidia!

Van Dormael sądzi podobnie. Rób, co ci się podoba, lecz zważaj na innych. Nie wstydz się siebie, bo przecież, chociaż jesteś „everyman”, to jesteś także Anną, Filipem, Ewą, Bronisławem, Jaco van Dormaelem czy grupą Monty Pythona. Właśnie! Produkcja „Sens życia” Monty Pythona jest też wskazówką dla reżysera „Zupełnie Nowego Testamentu”, skoro z filmu angielskich niepokornych wynika jasny sens: sensem życia jest życie, a nie różne wydumane fiu-bździu. Ea wszak mówi do ludzi, że macie tylko życie, skapujące kropla po kropli... aż do ostatniej kropli – więc carpe diem!

Urządnic-apostoł, idąc za ptakiem-przewodnikiem, dociera na daleką północ do chaty zjawiskowej dziewczyny...

Zabójca-apostoł łączy się w rytuale miłości z jednoręką dziewczyną-apostołem...

Chłopiec-apostoł staje się dziewczynką ...
Apostołka Catherine Deneuve kupuje King Konga w cyrku i wygania won męża...

Erotoman-apostoł odnajduje ideał erotyczny z dzieciństwa i idzie z nim do łóżka...
Miłość...

Problemy zostają rozwiązane, bo każdy powinien cieszyć się życiem na swój sposób. Pogodzić się ze światem. Na przekór koncepcji Herzoga, na przekór Stroszkowi, który wybrał samobójstwo, chociaż miał przyjaźń swych też swawolnych umysłowo towarzyszy. Być może Stroszek wybrał śmierć, bo uważał, że życie to wybór, więc można równie dobrze nie żyć. Bohaterowie filmu van Dormaela wolą żyć – po swojemu. Tym bardziej że Bóg kończy jako robotnik w fabryce pralek w odległym Uzbekistanie: szuka pralki, poprzez którą wróci do siebie, do swojego komputera, by dalej urządzać ludziom życie. Na razie rządzi jego zahukana żona – teraz Bogini. Niebo zmienia się w kiczowatą tapetę w kwiatki, lodowce mimo efektu cieplarnianego nie topnieją, a ludzie mają żyć dalej, daty śmierci zostały anulowane...

Ea i jej pomocnik-włóczęga zmienili oblicze świata. Podjęli dzieło don Kichota i Sancho Pansy, którzy ruszyli w drogę przed wiekami, by zmienić oblicze człowieka. Fantasta i prosty chłop. Zmienić, by już nigdy człowiek człowiekowi nie był wilkiem. Żeby wykluczyć takie sytuacje, jak ta w „Diable” Andrzeja Żuławskiego, gdy karzeł-rezydent wyznaje swemu panu przed jego śmiercią, że go nienawidzi, bo jest on taki duży.

Czy rzeczywiście można zmienić ten świat? Mimo swego optymizmu van Dormael w to wątpi. Świat pędzi coraz szybciej, zmienia się w istną migawkę wrażeń, feerię zmian, rzeczywistość szaleje, a człowiek traci, bo od-

rzuca to, co było przed nim, za nim: z mózgu znikają obszary pamięci. Kobiety z „Zupełnie Nowego Testamentu”, tj. Ea i jej matka Bogini, które naprawiają świat, prostują samcze błędy ojca i męża, też boleśnie się przekonają, że skoro światem rządzi komputer, internet, pęd do wręcz niecodziennych zmian, to nie wystarczy wyjść z pralki i ogłosić nową, nowoczesną Dobrą Nowinę. Niebo w ślicz-

ne kwiatki też się znudzi i ludzie zażądają np. nieba w kropki bordo...

A więc „élan vital” – lecz nie jako wirówka niepamięci, ale kontemplacja „carpe diem”. Horacy zamiast Bergsona. Van Dormael zamiast Herzoga.

Grzegorz Sasin

Klasyka przez jazzowy pryzmat

Krzysztof Majerczyk

Czy Jan Sebastian Bach był wybitnym jazzmanem? Czy jego muzyka może inspirować współczesnych jazzmanów? Warto było posłuchać, co myśli o tym znany ukraiński i polski pianista, kompozytor i jazzman Konstanty Wileński na koncercie karnawałowym zorganizowanym 23 stycznia przez Radomską Orkiestrę Kameralną. To niecodzienne wydarzenie, w którym w symbiozie zabrzmiała muzyka klasyczna i improwizacje jazzowe, zgromadziło niemal komplet publiczności. Na scenie zgodnie współpracowały dwa zespoły: trio jazzowe (Konstantemu Wileńskiemu towarzyszyli Bartłomiej Szetela na gitarze basowej i Piotr Biskupski na perkusji) oraz gospodarz spotkania – Radomska Orkiestra Kameralna.

Na początku klasycznie zabrzmiała muzyka Jana Sebastiana Bacha w wykonaniu Radomskiej Orkiestry Kameralnej pod batutą Macieja Żółtowskiego. Fragmenty I Suty orkiestrowej C-dur, BWV 1066 pokazały niedościgniony świat

dźwięków dawnego mistrza i stały się zarazem wyrazistym punktem odniesienia dla następujących po nich „Wariacji na tematy Bacha” na trio jazzowe i orkiestrę smyczkową (ich źródłem są: Koncert skrzypcowy g-moll oraz Preludium c-moll i Preludium es-moll pochodzące z dwutomowego zbioru *Das Wohltemperierte Klavier*). Zapewne z szacunku dla Bacha Wileński nie próbował na siłę scalać dwóch światów – dawnego i współczesnego (odwołania do Bacha polegały raczej na zestawieniu poszczególnych tematów z ich jazzowymi czy jazzującymi komentarzami). Postawił na dialog pomiędzy triem a orkiestrą, ukazując piękno i jazzowy charakter muzyki dawnego mistrza. Bach bowiem, jak wyjaśnił Wileński, zainspirował wielu muzyków, również wpłynął na świat jazzmanów [wśród nich znaleźli się: John Lewis, Jacques Loussier, Eugen Cicero i Keith Jarrett – przyp. aut.]. Program koncertu znakomicie dopełniły kolejne autono-



foto. Jerzy Miesznik

Konstanty Wileński

miczne kompozycje Wileńskiego inspirowane twórczością dawnych mistrzów. W „Fantazji na tematy Mozarta” wirtuoz fortepianu zmierzył się z geniuszem słynnego klasyka, a w „Wariacjach na tematy Chopina” podkreślił, jak uniwersalna jest muzyka polskiego kompozytora. Jednak tak naprawdę dopiero efektowne „Wariacje na temat Paganiniego” (oparte na trudnym technicznie Kaprysie nr 24 a-moll z opusu 1) oraz „Koncert-Fantazja na tematy Gershwinia” (wspaniała stylizowana orkiestracja inspirowana „Błękitną Rapsodią”) pokazały, dlaczego Wileński uchodzi za jednego z największych spe-

cjalistów od jazzowych interpretacji dzieł klasycznych. Znane tematy zabrzmiały niezwykle świeżo. Finałem koncertu był słynny standard jazzowy „Sweet Georgia Brown” (jego autorami są Maceo Pinkard i Ben Bernie), w którym pianista wykazał się niebywałą wirtuozerią, a zespoły muzyczne zagrały z wyjątkową pasją. Na tak porywającą interpretację publiczność mogła odpowiedzieć tylko owacją na stojąco.

Motyw mariażu jazzu z tematami dawnych mistrzów sprawia Konstantemu Wileńskiemu ewidentną przyjemność. Gruntownie wykształcony i niezwykle utalentowany kompozytor ze swobodą odnajduje właściwy klucz do rozwiązania technicznych problemów związanych z „ujazzowaniem” klasyki. Konsekwentnie też poszerza swój repertuar (w najbliż-

szym czasie przedmiotem jego improwizacji stanie się muzyka Beethovena). Propozycja Wileńskiego okazuje się na tyle wartościowa i zarazem przystępna w odbiorze, że publiczność reaguje pozytywnie na nieco odmienną od klasycznej estetykę. Należy jednak pamiętać, że tego typu projekty są kontrowersyjne dla zwolenników muzyki w oryginalnej formie. Dobrze że dla równowagi istnieje świat, w którym jazz i muzyka klasyczna są nadal odrębne.

Krzysztof Majerczyk



fot. archiwum rodziny Truskolaskich

Beze mnie czas nie istnieje. Wspomnienia o malarzu Zdzisławie Truskolaskim

Marta Wiktoria Trojano wska

Córka Truskolaskiego – Maria na pierwszej po wojnie wystawie

Poznaję panią Marię zupełnym przypadkiem, kiedy pyta w bibliotece o *Listy Witkacego do żony*. Okazuje się, że jest córką malarza kolorysty – Zdzisława Truskolaskiego. Nie znałam takiego nazwiska, ale indeks w zbiorze listów Stanisława Ignacego Witkiewicza ułatwia zadanie: „Idę do uczniów – Truskolaskiego i Leszczyńskiego” – czytam. Witkacy wspomina o nim jeszcze kilkakrotnie. Skrótowo, rzeczowo, zresztą tak jak o wszystkich, którzy otaczali go w Zakopanem. Bo to stamtąd słał do pięknej Jadwigi listy... Początek lat 30. XX w., najlepsze utwory polskiego dwudziestolecia jeszcze nie zostały napisane, a do tragicznego końca epoki daleko...

*

„Zdzisław Truskolaski herbu Ślepowron (ur. 1899, zm. 1949) – polski malarz eks-

presjonista związany z Jasłem i Krosnem” – znajduję w Wikipedii.

„Ten utalentowany artysta w czasach nazizmu ratował życie wielu ludziom” – dowiaduję się ze strony internetowej poświęconej Truskolaskim, redagowanej przez syna Pawła.

„Wierzyli, że sztuka jest czymś wyjątkowym, że drogą wyrzeczeń, poświęceń i ciężkiej pracy osiągną doskonałość. Byli najprężniej działającą grupą w sztuce polskiej drugiej połowy XX wieku. Do dziś trwa ich wpływ na polską sztukę” – czytam o polskich kolorystach słowa Alicji Trześniowskiej pisane na okoliczność wystawy w Sandomierzu. Wśród nazwisk najwybitniejszych polskich przedstawicieli kierunku wymienia m.in. właśnie Truskolaskiego.

– Bogu dziękuję za rodziców i dom – słyszę wreszcie – ja tylko – od pani Marii,



fot. archiwum rodziny Truskolaskich

Rodzina Truskolaskich, w środku uczeń malarza o nazwisku Cygan

którą proszę o rozmowę i wspomnienia o ojcu. I teraz to ja składam jego portret – z rozproszonych folderów, skrótowych biogramów i strzępków wspomnień, które trzeba zapisać, póki czas...

*

– Podobno mówił, że nie może patrzeć beczynn timer, jak mordują jego przyjaciół – mówi mi pani Maria. Nigdy nie poznała prawdy o czasach wojny, ale podejrzewa, że musiał być w jakiejś organizacji, że nie mógł działać sam, nie mógł znać osobiście tych wszystkich ludzi, do których wywoził ukrywających się Żydów.

Półmrok kawiarni. Pani Maria wyjmuje świadectwo nadania ojcu tytułu Sprawiedliwego wśród Narodów Świata. Jerozolima, Izrael, data: 1 lipca 1986 r. A więc 37 lat po śmierci Zdzisława Truskolaskiego. „Kto ratuje jedno życie, jakby cały świat

ratował...”. Trzymam przez chwilę ten dyplom i z wrażenia trzęsą mi się ręce... I choć w biogramach przeczytać można zdawkowo: „podczas okupacji artysta ukrywał jasielskich Żydów” (z katalogu wystawy w Lublinie, KUL 1997 r.), dla córki artysty ci ukrywani Żydzi mieli konkretne twarze i konkretne losy. Jedna z tych twarzy, młoda Żydówka, którą pan Zdzisław wywiózł z Jasła w ubraniu swojej własnej córki i zawiózł do dworu. Pierwszy mąż dziewczyny trafił do obozu w Oświęcimiu, a po wojnie został kustoszem oświęcimskiego muzeum. Pani Maria pamięta jego mieszkanie – wszystkie ściany obwieszane ciemnymi grafikami – a na nich obóz...

Druga twarz... Tadeusz Juszczyk (prawdziwe nazwisko Józef Blut). To on po latach doprowadził do nadania tytułu swemu wybawcy, to on zasadził za niego drzewko w Jerozolimie, to on był pomysło-

dawcą i projektantem pomnika pamięci ofiar wojny na cmentarzu żydowskim w Jaśle. Zanim się to jednak stało, w wojennej zawierusze trafił do dworu w Rzeszowskiem – wywieziony przez Truskolaskiego na prośbę swojego ojca. A tam miał mówić, że działał w partyzantce. Żydowskie pochodzenie wyszło na jaw i został wywieziony po raz kolejny. Tej nocy banderowcy wymordowali całą dwór... Juszczyk dożył swoich lat w Izraelu. Jego żona Dorota żyje dotychczas. Pani Maria dostała zaproszenie do Izraela na pośmiertne nadanie tytułu jej Ojcu, nie dostała jednak paszportu od komunistycznych władz. Teraz trzyma przede mną dyplom, który nawet nie zżółkł...

Później zobaczę jeszcze zdjęcie pana Juszczyka i jego małżonki. Współczesne, kolorowe, robione tutaj, w Polsce, na początku lat 90. Nie zapomniał o rodzinie malarza. Odwiedzał ją (już w Radomiu), przyjeżdżał, opowiadał. To od niego pani Maria wie wszystko. Ojciec nigdy nie opowiadał...

*

– Życie pokręcone we wszystkie strony – słyszę. Patrę na panią Marię i widzę kilkuletnią dziewczynkę, która uciekała w rodzicami z Jasła. Najstarsza z czwórki rodzeństwa, wspomina biedę i ciężkie wa-



Zdzisław i Jadwiga Truskolascy. Jasło, 1937 r.

fot. archiwum rodziny Truskolaskich

runki po wysiedleniu. – Nędza w domu, ale do śniadania trzeba było ładnie się ubrać i zjeść wszystko, co było na talerzu, bo ktoś to śniadanie przecież przyrządził. Właśnie tak ojciec nam wpajał szacunek do innych. O jego szlacheckim pochodzeniu dowiedziała się po latach, nigdy bowiem nie przywiązywał wagi ani do spraw majątkowych, ani do swoich korzeni. Nie był sentymentalny, nie mówił o rodzinie. Wysocki, przystojny, chodził o lasce, bo cierpiał na gruźlicę kolana. Ożenił się z dziewczyną z bogatej kupieckiej rodziny. Nie było to łatwe małżeństwo, ale gdy słyszał od

swoich rodziców, że nie dba ród i nazwisko, bo popełnia mezalians, miał powiedzieć, że dba, że dąży do tego, by być... do dobrym malarzem. Biogramy milczą o tym, że żona artysty, Jadwiga, pomagała mężowi w ratowaniu Żydów i że po latach to na jej adres przyszło odznaczenie z Izraela. Milczą też o tym, że Witkacy namalował jej portret. Milczą wreszcie o tym, że pod koniec życia mieszkała wraz z córką w Radomiu. Dożyła 99 lat. Zabrakło jej miesiąca do setnych urodzin. Spoczęła w zabytkowym grobowcu rodzinnym w Jaśle.

„Bogu dziękuję za rodziców i dom” – wciąż dźwięczą mi w uszach słowa pani Marii. Wspomina, że ojciec traktował ją zawsze niezwykle poważnie, z wielkim szacunkiem. Wyposażył w wartości, które przydały się w życiowej wędrówce, zakończonej – trochę przypadkowo – w Radomiu, w którym córka malarza mieszka do dziś. Droga do Radomia wiodła przez Jasło, Krosno, Iwonicz, Warszawę, Skarżysko-Kamienną, a nawet Budapeszt, bo wyjechała na jakiś czas do ojczyzny męża.

*

– Tak naprawdę sam przerobił całą teorię koloru... – pani Maria wraca do opowieści.

Truskolaski rozpoczął studia w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie tworzyła się wówczas grupa kolorystów. Kiedy poznał bliżej Witkacego? – czy w Krakowie, czy w Zakopanem, gdzie jeździł – tego niestety pani Maria nie wie. Być może poznali się przez wspólnego znajomego – Jana Leszczyńskiego. Truskolaski wykonał ilustracje do jego tomu poezji *Nawiedzenie* (1928). Leszczyńscy mieli zresztą majątek pod Jasłem. Truskolaski pomieszkiwał u Witkace-

go, znał poetów, artystów. Biogramy akcentują także znajomość z Leonem Chwistkiem (który napisał o nim artykuł). Pani Maria jest w stanie wydobyć z pamięci jedynie echa odwiedzin w ich domu, głośne czytanie poezji... Z tego okresu pochodzą trzy portrety Janiny Brzostowskiej – poetki dwudziestolecia, dziś nieco zapomnianej. Jeden autorstwa Witkacego, dwa pozostałe – Zdzisława Truskolaskiego. Zanim trafią za ocean, do potomków poetki, Brzostowska napisze: „Więcej we mnie przyszłości niż dnia dzisiejszego...”. Kiedy zaś Truskolaski odnajdzie wreszcie artystyczną drogę, będzie musiał dwa razy zaczynać od nowa. Po dziesięciu latach nieustannego malowania zdecyduje się zorganizować wystawę w Warszawie i we Lwowie. Nie odzyska nigdy prac z żadnej z tych dwóch wystaw – bo zacznie się wojna. Potem w Jaśle na dom spadnie bomba, a Niemcy wywiozą obrazy i farby.

Po przesiedleniu do Krosna malował bardzo dużo. – Codziennie kilka godzin – wspomina pani Maria. To tam przygotował wraz z innymi artystami pierwszą w odrodzonej Polsce wystawę malarstwa, współtworzył Oddział Związku Zawodowego Artystów Plastyków i założył szkołę plastyczną. Tam wreszcie doprowadził do wydania dwutygodnika ZZAP „Sztuka i Życie”, w którym publikował. I to właśnie w krośnieńskim muzeum zachowało się najwięcej obrazów. Reszta – w depozycie w Muzeum Narodowym w Krakowie, kilka w BWA i muzeum rzeszowskim. Najwięcej obrazów posiada syn Paweł, on też zachował rękopisy ojca i on prowadzi stronę o rodzie Truskolaskich. Pani Maria zachowała kilka drzeworytów i trzy obrazy:

akwarelę z motywami kwiatowymi, próbę do kompozycji i swój portret. Kiedy patrzę na ten portret, uderza mnie smutek dziewczynki z krótkimi włosami. Pytam, dlaczego tyle na nim smutku. – Był malowany zaraz po wojnie – słyszę.

Otwieram katalog *Koloryści* (ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Rzeszowie, Rzeszów 2015) i czytam: „[Truskolaski] Uprawiał twórczość w zakresie malarstwa sztalugowego i ściennego oraz drzeworyt. Zajmował się teorią sztuki. Działał w technice olejnej, temperze, akwareli i pastelu”. Nie znam się na malarstwie. Oglądając reprodukcje w katalogu, widzę przede wszystkim kolory, których nie było w stanie zabrać nawet okrucieństwo wojny... I tylko ten portret córki taki smutny...

Ale pani Maria pamięta coś jeszcze – ostatni obraz ojca. Pod koniec życia malował duże kompozycje, sceny rodzinne, w których córka rozpoznawała sylwetki bliskich. Dwa lata chorował, leżał, nie mógł dokończyć ostatniego obrazu, dlatego poprosił swoją 14-letnią córkę o pomoc – rozrabiał farbę, a ona malowała tam, gdzie wskazał i tak ustawiała pędzel, jak powiedział... Obraz wisi do dzisiaj w krośnieńskim muzeum...

*

Patrzę na panią Marię i przez króciutką chwilę znów widzę małą dziewczynkę. Tym razem ze starej fotografii. Rok 1936, jasielski sielski park. Państwo Truskolascy siedzą na ławce w pełnym słońcu i jeszcze nie wiedzą, że za kilka lat przyjdzie im uciekać, zostawiając wszystko. I by potem, po wojnie, dorastająca Maria pomogła ojcu

skończyć jego ostatni obraz. I by było jak w wierszu Janiny Brzostowskiej:

*Beze mnie czas nie istnieje.
Tylko ja go nazywam,
człowiek:
pamięcią
słowem,
cierpieniem
narodzinami,
śmiercią.*

Marta Wiktoria Trojanowska

PS Córka Zdzisława Truskolaskiego pragnęła pozostać anonimowa. Szanuję ten wybór, i tym większa rośnie we mnie wdzięczność za to, że podzieliła się ze mną nie tylko wspomnieniami o swoim ojcu, ale także opowiedziała o własnych losach. Podróże w przeszłość, zwłaszcza tę naznaczoną wojną, nigdy nie są łatwe i oderwane od emocji. Wielu z przekazanych mi wspomnień nie zawarłam w powyższym tekście, moja rozmówczyni prosiła bowiem, abym zachowała je dla siebie. Jestem jednak przekonana, że losy rodziny Truskolaskich zasługują na obszerniejsze opracowanie, co częściowo czyni syn malarza – Paweł.

Reprodukcje fotografii i obrazów oraz drzeworytów Zdzisława Truskolaskiego zobaczyć można na stronie internetowej: www.truskolascy.info. Reprodukcje wspomnianych w tekście portretów Janiny Brzostowskiej znajdują się na stronie poświęconej poetce: www.brzostowska.republika.pl.



PROBOSZCZ Z BORKOWIC (ks. Jan Wiśniewski 1876–1943)

Jerzy Kutkowski

Chory był orzeł... Jego przyjaciele
wspólnie zebrani, doradzali wiele.
Więc lis upewnia, że dla dobra braci
wnet wyzdrowieje, kiedy skrzydła straci.
Wilk radzi nogi poobcinać obie.
Źródło choroby, gdy kot ujrzał w dziobie,
teb orła ugryźć zamierza...
Sęp chce oskubać go z pierza.
A kleszczyk wpija się w serce...
Bajka to dla was, morderce
Kraju własnego! Miał być w radach zgodni
Prywatą waszą dążycie do zbrodni!

ks. Jan Wiśniewski

Ks. Jan Wiśniewski – duszpasterz, historyk i regionalista, inicjator utworzenia muzeum w Radomiu i jego darczyńca, autor *Dekanatów* i opisów historycznych kościołów, miast i miaste-

czek – w 1913 r. objął probostwo w Borkowicach i mieszkał tam przez 30 lat, aż do śmierci w roku 1943.

Borkowice to wieś położona w południowo-zachodniej części ziemi radomskiej. Z Radomia jedziemy w kierunku Opoczna. W Skrzynnie przed Przysuchą należy skręcić w lewo – droga doprowadzi nas do Borkowic, które leżą w pofałdowanym terenie, na granicy Garbu Gielniowskiego i Równiny Radomskiej. Odległość od Radomia – 40 km.

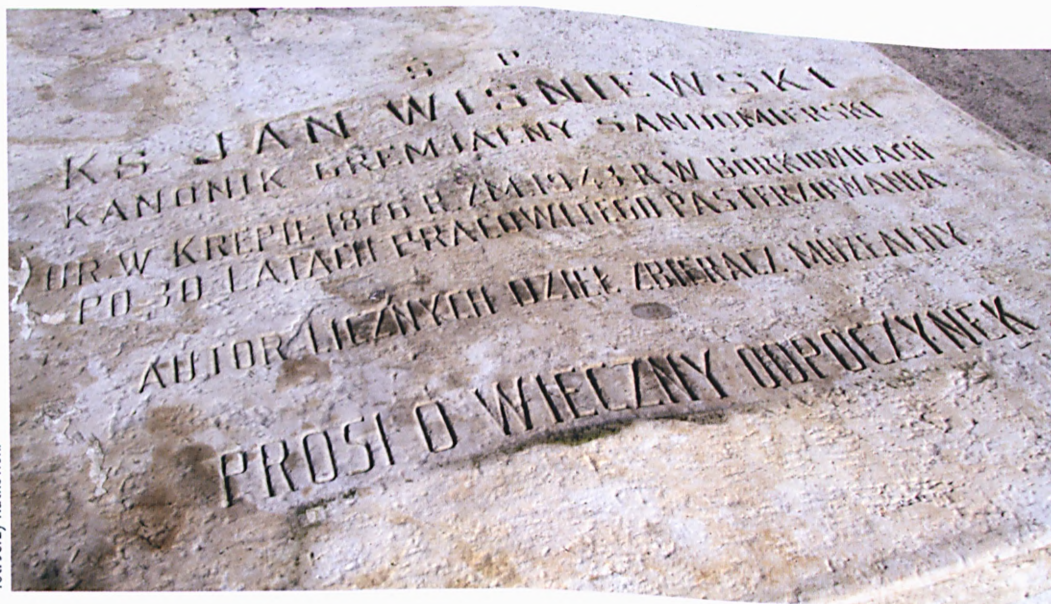
Choć naszym celem jest borkowicki kościół, plebania i pamiątki związane z ks. Wiśniewskim, zaczniemy od „pięknych okoliczności przyrody”. Z punktów widokowych w Bryzgowie i na Krakowej Górze (280 m n.p.m.) obok Borkowic można podziwiać zachwycające rozległe krajobrazy.

Według legendy w koneckich lasach polował Kazimierz Wielki. Znacznie się oddalił od swych dworzan, błędząc po lesie wszedł na tę górę i rozejrzał się po okolicy. Widok z góry był wspaniały i skojarzył mu się z widokiem z Wawelu, więc nazwał ją Krakową Górą. Wróćmy do naszych czasów. Znany warszawski malarz Janusz Dziurawiec kupił w pobliżu, w Bołęcinie, chałupę. „Jak tu jestem, to chodzę, a jak chodzę, to oglądam i to mnie inspiruje. Tu jest ta granica między Mazowszem a Małopolską. Tutaj wszystko się zmienia. Zmienia się klimat. Zmienia się akcent ludzi. Zmienia się szata roślinna. Jest dużo takiej naturalności, dzikości, która bardzo mi się podoba. Mam tu tę chałupę, więc tu mieszkam, a zatem mogę oglądać świat rano, o świcie lub wieczorem, kiedy jest mgła, szadź, przymrozek, kiedy słońce wychodząc po deszczu oświetla na drodze kałuże”. Jedną trzecią gminy zajmują lasy z licznymi jarami i pomnikami przyrody. Szlaki turystyczne prowadzą do najciekawszych zakątków. Główną atrakcją jest wieś. Pierwsze wzmianki o osadzie Borkowice pochodzą z 1308 r. Przez cztery wieki właścicielami okolicznych dóbr leśno-rolnych byli Duninowie-Borkowscy, a potem Szaniawscy. Od nich majątek odkupił włoski przedsiębiorca Jan Gibboni. Od 1728 r. właścicielami byli Małachowscy, w 1872 r. przejął go Jan Tarnowski z Dzikowa, wreszcie stał się własnością Stefana i Marii Dembińskich, którzy w 1905 r. urządzili tu rodzinną rezydencję wg projektu Władysława Marcconiego i Zygmunta Hendla. To miejsce jest tak interesujące, że zasługuje na osobne omówienie. Inny zabytek wart obejrzenia to kryty gontem podworski spichlerz

z końca XIX w. W pałacu i zabudowaniach gospodarczych po wojnie urządzono szkołę rolniczą. Na początku lat 70. w czasie zajęć, podczas młócki, doszło do zatarcia silnika elektrycznego w młocarni. Wybuchł pożar, spłonęła stodoła, narzędziownia oraz inne zabudowania w gospodarstwie. Odbudowa spichlerza wymagała wielu zabiegów ze strony dyrekcji szkoły, bo wtedy zdobycie materiałów budowlanych (szczególnie zakup gontu) było wielkim wyzwaniem. W gospodarstwie było wtedy 28 budynków, z których każdy wymagał remontu, udało się jednak, i dziś spichlerz jest obowiązkowym punktem spaceru po Borkowicach. Położony na wzniesieniu neogotycki kościół jest dominującym elementem krajobrazu. Został zaprojektowany przez Franciszka Lanciego i Henryka Marcconiego i wybudowany w latach 1829–45 z funduszy Katarzyny Małachowskiej i jej syna Onufrego. Za datę fundacji pierwszego kościoła przyjmuje się rok 1360. Dowodem są dokumenty z 1364 r., w których można przeczytać, że Piotr Dunin-Borkowski zapisał świątyni dziesięciny ze wszystkich swych wiosek i pól, a krakowski biskup Bodzanta wyznaczył wsie mające wejść w skład parafii Borkowice. Wg Jana Długosza do parafii tej należało w XV w. 11 wsi. „Kościół Duninowski, modrzewiowy, przetrwał do czasów szwedzkiej wojny za Karola XII. 22 sierpnia 1722 roku stanął kosztem pana Jana Dzioniego (Gibboni) stolnika mściławskiego, dziedzica Borkowic kościół nowy, również drewniany. W 1828 rozebrano go, a z drzewa postawiono z rzędu trzeci kościół, tymczasowy...” – pisał ks. Jan Wiśniewski. W obecnym kościele o baro-



Cmentarz w Borkowicach, fragment nagrobka z Matką Boską i portretami zmarłych: Katarzyny Biernat zm. w 1914 r. i jej męża Szczepana Biernata zm. w 1917 r. Nagrobek powstał wg pomysłu ks. Jana Wiśniewskiego



fot. Jerzy Kutkowski

kowym wnętrzu warto zatrzymać się dłużej przed ołtarzem św. Antoniego Padewskiego, którego kult w Borkowicach sięga połowy XVII w. Figura świętego, który trzyma na rękach Dzieciątko Jezus, jest czarna. Interesująca jest historia jej powstania. Otóż w 1646 r. górnik Hilary Mała z Niewachłowa pod Kielcami wykopał w Machowskiej Górze trzy bryły ołowiu, z których starosta kielecki kazał wykonać trzy figury świętych, mianowicie Najświętszej Marii Panny dla kolegiaty w Kielcach, św. Barbary do klasztoru na Karczówce i św. Antoniego. Trzecią załadowano na wóz zaprzężony w woły i wykrzykiwano nazwy różnych parafii, lecz za każdym razem woły nie chciały ruszyć z miejsca. Dopiero gdy ktoś krzyknął: Borkowice!, woły rażno ruszyły z miejsca i św. Antoni został tu przywieziony. Kult św. Antoniego był wielki, już w XVIII w. było sporo wotów, które wraz z innymi srebrami oddano na obronę kraju podczas insurekcji kościuszkowskiej. Cenne są również drewniane rzeźby: św. Rocha oraz św. Jana Nepomu-

cena. Warto zwrócić uwagę na pozostałe barokowe wyposażenie: dzwon zakrystyjny, antepedium ołtarza głównego, liczne obrazy, bogato zdobiony ornat oraz kielichy mszalne. Na zewnętrznym murze znajduje się rzeźba św. Floriana z I poł. XIX w., a w ścianie domu parafialnego tablica (których tu wiele) poświęcona 600. rocznicy bitwy pod Płowcami w 1331 r. Bohater tego tekstu, wieloletni proboszcz parafii w Borkowicach ks. Jan Wiśniewski urodził się w 1876 r. w Krępie Kościelnej (położonej między Łżą a Lipskiem), był synem administratora i współwłaściciela Krępy. Rodzice zmarli, gdy był kilkuletnim dzieckiem. Zaopiekowała się nim babka Scholastyka Malecka, z którą zamieszkał w Radomiu. W 1892 r. ukończył gimnazjum męskie i wstąpił do Seminarium Duchownego w Sandomierzu, gdzie w 1899 r. został wyświęcony na kapłana. Był wikarym w Kozienicach, Cerekwi, Ćmielowie i Stromcu. Odznaczał się żarliwym patriotyzmem i wielkim zaangażowaniem społecznym. Zakładał szkoły, ochronki, stra-

żną, sklepy spółdzielcze, różne stowarzyszenia, biblioteki i kluby, dbał o zabytki. Od 1906 r. pracował jako katecheta w radomskich szkołach. Równoległe z pracą duszpasterską zajmował się inwentaryzowaniem zabytków. Mimo trudności z transportem wędrował od parafii do parafii. Dokładnie oglądał kościoły i spisywał ich wyposażenie, obrazy, sprzęt liturgiczny. Zapisywał skrzętnie ich historię. Zbierał legendy, pieśni, przysłowia, wierszyki czy zagadki. Ten obszerny materiał etnograficzny zachował się w archiwum parafialnym w Borkowicach. Jego dorobek piśmienniczy jest bardzo bogaty, jednak na szczególne podkreślenie zasługują *Deknaty* – 14 tomów opisów parafii z rycinami, mapami, zdjęciami. Był kolekcjonerem wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość artystyczną lub historyczną. Swoje zbiory chętnie przekazywał do muzeów, np. do muzeum diecezjalnego w Sandomierzu czy Narodowego w Krakowie. Kiedy opuszczał Radom, postanowił, że znaczną część swej kolekcji podaruje radomskiemu oddziałowi Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Warunek był jeden: uruchomienie w Radomiu muzeum, z zastrzeżeniem o prawie wycofania darowizny, gdy muzeum nie powstanie w ciągu roku. Muzeum powstało i istnieje do dziś jako Muzeum im. Jacka Malczewskiego. Tak to wspominał: „Postanowiłem ofiarować Radomiowi moje muzeum, aby pamiątki po lepszej przeszłości dawały otuchę jaśniejszej przyszłości, by pamiątki po zasłużonych mężach zachęcały społeczeństwo coraz więcej grzęznące w śpiączce i materializmie do pracy i czynu dla dobra ojczyzny. [...] Wreszcie nadszedł dzień 19 grudnia

1913 roku. Zaproszono mnie do domu Hempla, gdzie się zebrało blisko stu panów wraz z prezydentem miasta panem Władysławem Modzelewskim. Pan Maciej Glogier wypowiedział do mnie dziękczynną za dar mój dla Radomia mowę, imieniem wszystkich pożegnał mnie i wręczył ów adres Radomian. Na mowę serdecznie odpowiedziałem, uścisnęliśmy sobie ręce i do widzenia. Graty moje dnia tego czy w przeddzień zabrali wraz ze służbą i pieskiem Wiernusiem oraz kotką Femcią gospodarze borkowickiej parafii”. Część kolekcji zabrał ze sobą. Do Borkowic trafiły m.in. obraz Rafaela „Św. Rodzina”, oryginalne listy Kościuszki, dwa rękopisy A. Mickiewicza, dokumenty po Towiańskim, okazała biblioteka. Po wybudowaniu dworku-plebanii urządził małe muzeum, do którego zapraszał uczniów i ze swadą opowiadał o każdym eksponacie. Miał zawsze wielu gości, ich nazwiska można odczytać z cegieł plebanii, gdzie niektórzy je wyškrobali na wieczną pamiątkę. Wybudował własnym kosztem kilka budynków służących duszpasterstwu. W jednym z nich osiadły w 1939 r. siostry benedyktyнки wyrzucone z klasztoru w Łucku przez bolszewików. Budował pomniki, obeliski, fundował tablice pamiątkowe w miejscach wydarzeń historycznych. Na obelisku obok plebanii umieścił napisy: „Ku pamięci wojny światowej, ojczyznę wolną pobłogosław panie” oraz „W tym miejscu trzech zabójcy kolejno bawili, Moskał jadł, Austriak brał, Niemcy plany robili”. Był inicjatorem budowy kościoła w Ruskim Brodzie, gdzie wykupił plac. Pierwszą mszę w nowym kościele odprawił w 1926 r. Wdzięczni parafianie wystąpili z wnioskiem o zmianę na-

zwy miejscowości na Wiśniew, jednak władze administracyjne nie wyraziły na to zgody. Na plebanii w Borkowicach swe obrazy przechowywał ks. Władysław Paciak, autor portretu ks. Wiśniewskiego znajdującego się w zbiorach radomskiego muzeum. Po wybuchu II wojny światowej był szykanowany przez Niemców, wzywany na przesłuchania, popadł w przygnębienie i rzadko wychodził poza plebanię. W lipcu 1941 r. doznał wylewu i był częściowo sparaliżowany. Bibliotekę, która liczyła kilka tysięcy tomów, przekazał Bibliotece Jagiellońskiej oraz seminarium w Sandomierzu. Najcenniejsze eksponaty, m.in. obrazy: „Madonna” Cranacha (XVI w.), „Madonna z Dzieciątkiem i świętym Janem” (XVIII w.),

„Matka Boża karmiąca” (XVIII w.), „Matka Boska szyjąca” (XIX w.) zapisem w testamencie przekazał do Muzeum Diecezjalnego w Sandomierzu. Jedną z sal nosi jego imię. Część zbiorów trafiła również do muzeum Cystersów w Wąchocku.

Ks. Jan zmarł po długotrwałej chorobie w czerwcu 1943 r. i został pochowany na borkowickim cmentarzu. To miejsce, pełne ciekawych nagrobków, również warto odwiedzić.

Jerzy Kutkowski

Radom, 17 stycznia 2015 r.

KRONIKA

grudzień 2015 – styczeń 2016

Koziernice

10.12.2015. W Domu Kultury po raz siódmy zorganizowano Konkurs Kolęd i Pastorałek „Na ten Nowy Rok”. Przystąpiło do niego 140 wykonawców, którzy rywalizowali w trzech kategoriach: soliści, zespoły wokalne i duety, chóry.

15.01.2016. W Muzeum Regionalnym otwarto wystawę „Malowane światłem. Przyroda polska w obiektywie Artura Tabora”. Wernisażowi towarzyszyło spotkanie z wdową Jolantą Tabor.

Orońsko

16.01.2016. W Centrum Rzeźby Polskiej otwarto trzy wystawy. W Muzeum Rzeźby Współczesnej zorganizowano „Własność / Osobowość” Wydziału Rzeźby i Intermediów Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku, wystawę Bartłomieja Struzika „Transitus” pokazano w galerii Oranżeria, natomiast prace Marii Koras pokazano w galerii Kaplica. Tę ostatnią wystawę zatytułowano „La vie en rose”.

Radom

4.12.2015. W MOK „Amfiteatr” zagrał zespół Walk Away, którego członkami są czołowi muzycy jazzowi w Polsce. Wystąpił z nimi Eric Marienthal – muzyk światowego formatu.

6.12.2015. W Muzeum im. Jacka Malczewskiego otwarto wystawę „Spowiedź z wierzeń artystycznych”. Pokazano na niej malarstwo polskie od połowy XIX w. do początków wieku XX. Były to prace między innymi: Jacka Malczewskiego, Vlastimila Hofmana, Alfreda Wierusz-Kowalskiego, Juliusza i Wojciecha Kossaków, Olgi Boznańskiej, Juliana Fałata. Prezentowane obrazy pochodziły z kolekcji prywatnej.

10.12.2015. IX Przegląd Filmowy „Koskownik” zainaugurowano w Mazowieckim Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia”. Jako pierwszy wyświetlono film dokumentalny „Jestem Femen”. Pokazy trwały tydzień.

11.12.2015. 24 fotografików, członków Stowarzyszenia Twórców Fotoklubu Rzeczypospolitej Polskiej Regionu Radomskiego, zaprezentowało swoje prace na dorocznej wystawie otwartej w „Łażni” Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii.

13.12.2015. W sali koncertowej Radomskiej Orkiestry Kameralnej wystąpił cieszący się w Radomiu niestabnącą popularnością Michał Bajor.

19.12.2015. „Warszawski Lutosławski” to tytuł koncertu gwiazdkowego, na który

zaprosiła Radomska Orkiestra Kameralna. Orkiestra wystąpiła tym razem pod batutą Piotra Steczka. W koncercie wzięła udział także Magda Navarrete ze swoim zespołem. W przerwie koncertu, jak co roku, licytowano bombki malowane przez znanych radomian. Dochód z licytacji przeznaczony został na cel charytatywny.

31.12.2015. W galerii Mozaika w Teatrze Powszechnym odbył się wernisaż wystawy rysunku i malarstwa Jana Trojana. Wernisaż towarzyszył sylwestrowej premierze musicalu „Doris Day. Sentymentalna podróż”.

31.12.2015. W sylwestrowy wieczór Radomska Orkiestra Kameralna zaprosiła na koncert przebojów operetkowych, musicalowych i filmowych. Solistami byli Katarzyna Laskowska i Robert Szpręgiel.

8.01.2016. W Miejskiej Bibliotece Publicznej otwarta została wystawa „Przekroje – dyplom 2015”. Swoje prace pokazały członkinie grupy „Cztery Czwarte”, którą tworzą ubiegłoroczne absolwentki Wydziału Sztuki UTH: Teresa Bysiec, Anna Ludwicka, Barbara Wziątek, Anna Zimoląg.

8.01.2016. „Rodzinne malowanie” to tytuł wystawy prac Krzysztofa Mańczyńskiego i jego córek: Darii i Malwiny, otwartej w OKiS „Resursa Obywatelska”.

11.01.2016. Dominik Gawroński, Damian Czarnecki oraz Dariusz Umiecki to trzech utalentowanych trębaczy, którzy zaprezentowali się podczas koncertu big-bandu Mundana. Koncert był szóstym spotka-

niem z cyklu „Radomscy muzycy z big-ban- dem Mundana”. Występ odbył się w Re- sursie Obywatelskiej, a organizatorem był MOK „Amfiteatr”.

14.01.2016. W „Łażni” Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii odbył się wernisaż wystawy „Cezary Klaiber. Rzeź- ba/Grafika/Film”. Wystawę zorganizowa- no w galerii przy ul. Traugutta.

15.01.2016. Doroczną wystawę prezen- tującą dorobek członków Radomskiego Towarzystwa Fotograficznego otwarto w „Łażni” Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii.

19.01.2016. W Miejskiej Bibliotece Pu- blicznej odbyło się spotkanie z Piotrem Weiserem, autorem książki *To nie ja wy- myśliłem ten kraj. Izrael Hłaski*.

19.01.2016. American Corner i „Łażnia” Radomski Klub Środowisk Twórczych i Ga- leria to organizatorzy koncertu „PGR Feat. Marc Bernstain – Jazz kultur wielu...”.

21.01.2016. „Piosenki najpiękniejsze na świecie zaprezentował w „Łażni” Jan Kon-

drak, jeden z czołowych polskich przedsta- wicieli nurtu piosenki artystycznej.

29.01.2016. American Corner Radom za- prosił na wykład Kamila Kubickiego „No- rymberga, Houston, Watergate... Leon Ja- worski”. Bohaterem wykładu w ramach cyklu „Eagles on the Starry Standard” był Leon Jaworski, syn emigrantów z Polski i Austrii, obywatel USA, który jako 20-la- tek (w 1925 r.) został najmłodszym w hi- storii członkiem teksańskiej palestry. 1 li- stopada 1973 r. został mianowany nastę- pcą zdymisjonowanego specjalnego proku- ratora ds. afery Watergate.

30.01.2016. W sali koncertowej im. Krzysztofa Pendereckiego w Zespole Szkół Muzycznych orkiestra wojskowa z Rado- mia zagrała koncert noworoczny. Dyrygo- wał kapelmistrz Sławomir Ćwiek.

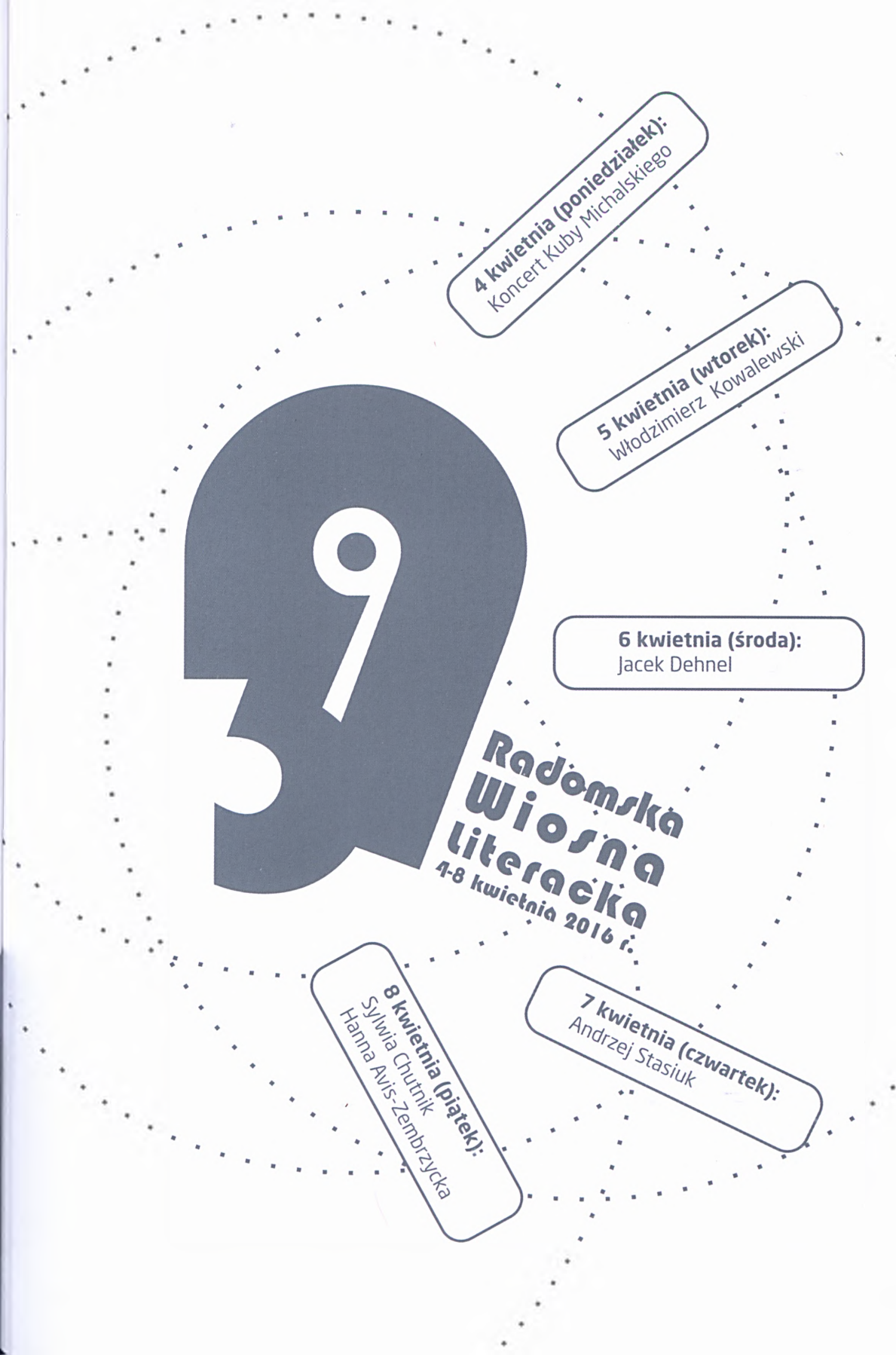
Wsola

10.01.2016. W Muzeum Witolda Gom- browicza odbył się koncert w wykonaniu znanej aktorki i pieśniarki Krystyny Tkacz.

MP

Miesięcznik Prowincjonalny
pismo o kulturze

**KUP
PRZECZYTAJ
POLEĆ INNYM**



Jerzy Kutkowski – Subiektywny obiektyw



Koronowane głowy, Radom 6 stycznia 2016 r.